NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA. KRAKÓW, ZACISZE 7. ... TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 18 sierpnia 1906 r. Nr. 33.

Dawaj ksiądz pieniędzy!

(Treść na stronie 2.)



Dawaj ksiądz pieniędzy!

(Do illustracyi tytułowej).

Dzienniki warszawskie donoszą, że przed kilkoma dniami wieczorem, na podwórze plebanii



O sukcesyą holenderską: Królowa Wilhelmina holenderska, która ponownie powiła przedwcześnie i zdaniem lekarzy, nie może już spodziewać się potomka, wobec czego powstała ważna kwestya o następstwo tronu w Holandyi.

w Rembieszycach, w pow. jędrzejowskim, weszło 12. bandytów. Zastawszy parobka przy studni, postawili przy nim wartownika z rewolwerem, 5 ustawiło się około plebanii, a 6 wtargnęło do wnętrza domu przez kuchnię.

Proboszcz ksiądz Rusin zajęty był pracą przy biurku, gdy nagle ujrzał przy głowie trzy rewolwery i usłyszał żądanie: „dawaj ksiądz pieniędzy“.

W pokoju było zebranych około 6 opryszków, ubranych czarno, w kapeluszach, z twarzami zamalowanemi, którzy splondrowali wszystkie kąty: szafy, biurko, komodę, meble wyścielane, stoły.

Spiesząc się, łamali i niszczyli wszystko, tak, że, w kilka minut mieszkanie zamienili w kupę gruzów.

Rabusie nie mogąc znaleść pieniędzy, coraz natarczywiej grozili księdzu śmiercią, poprostu znęcając się nad kapłanem.

Udało się księdzu Rusinowi cofnąć do kuchni, lecz tam już bandyci znęcali się nad służbą, bijąc wszystkich i żądając, aby służba powiedziała, gdzie ksiądz ma pieniądze.

Nie znalazłszy pieniędzy, bandyci zrewidowali jeszcze księdza i najspokojniej odeszli.

Mieszkańcy wioski Rembieszyce wiedzieli, że rabusie operują na plebanii, bo nawet przy jednym z wartowników stali, jednak nikt nie miał odwagi bronić swego proboszcza, w obawie o życie.

O sukcesyą holenderską.

Wobec gorżkiego rozczarowania, jakie spotkało królowę Wilhelminę i naród holenderski i rozwiało nadzieję, że Opatrzność zeszle następcę tronu, wysuwa się sprawa sukcesyi na czoło kwestyj bezpośrednio obchodzących dzierżawy domu orańsko-nassauskiego.

Zebrała się w Hadze rada ministrów, aby skutkiem lekarskiego *parere* o stanie zdrowia królowej przystąpić natychmiast do obmyślenia nowego porządku sukcesyi i przedstawić go w formie ustawy generalnym stanom królestwa.

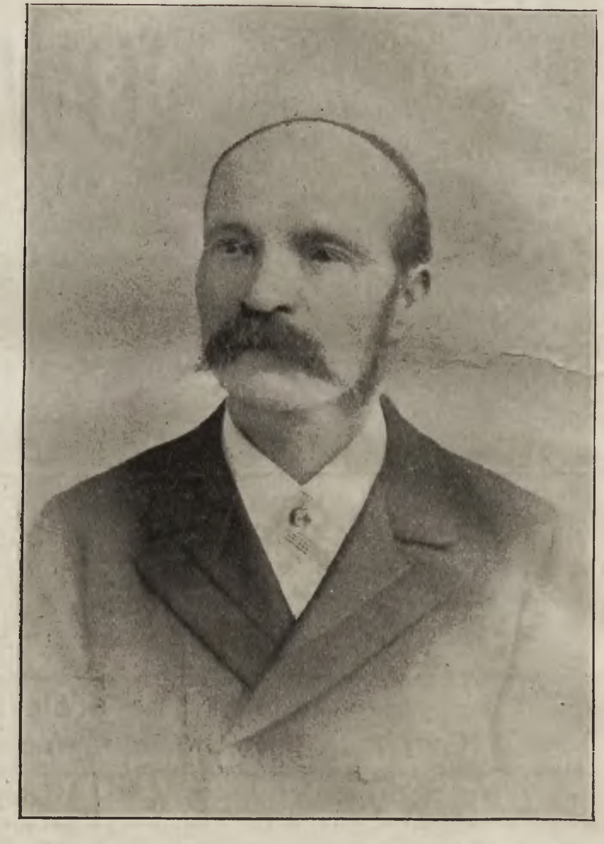
W razie bezpotomnego zgonu królowej Wilhelminy — a zdaniem lekarzy możliwość ta jest bardzo prawdopodobna — należałoby wziąć następujące rody i osoby w rachubę, jako do dziedziczenia po niej uprawnione:

1. Przedewszystkiem prawo do sukcesyi przysługiwałoby panującemu w. ks. Wilhelmowi Ernestowi Sachsen-Weimar-Eisenach, liczącemu obecnie lat 31. Jest on synem w. ks. Karola Augusta, a wnukiem w. ks. Karola Aleksandra i ks. Wilhelminy Zofii holenderskiej († 1897), siostry zmarłego w r. 1898 Wilhelma III. holenderskiego. W. ks. Wilhelm Ernest, który objął rządy w księstwie d. 5 stycznia 1901 po śmierci dziadka, ożeniony był z ks. Karoliną Reuss (linii starszej), która zmarła d. 17 stycznia 1905. Jedna z ciotek ks. Wilhelma Ernesta, ks. Marya Sasko-Wejmarska, jest żoną ks. Henryka VII. Reuss (linii młodszej), b. ambasadora Niemiec u Dworu w Wiedniu.

2. W drugim rzędzie domniemalnych sukcesorów stoją potomkowie zmarłego w r. 1872 ks. Albrechta pruskiego, który jako pierwszą żonę miał ks. Maryannę holenderską, ciotkę króla Wilhelma III, a więc cioteczną babkę królowej Wilhelminy. Ks. Maryanna wyszła za mąż d. 14 września 1830, uzyskała d. 28 marca 1849 rozwód, a zmarła 29 maja 1863. Z potomków ks. Albrechta mogą być uważani za uprawnionych do sukcesyi tylko ks. Fryderyk Albrecht, regent Brunszwiku, ożeniony z ks. Altenburską i jego trzej synowie Fryderyk Henryk, Joachim Albrecht i Fryderyk Wilhelm. Potomkowie ks. Albrechta z drugiego (morganatycznego) małżeństwa mają tytuł hrabiów Hohenau i nie są uprawnieni do dziedziczenia po ojcu.

3. Do trzeciej grupy należy ks. Marya Wied, małżonka panującego księcia Wilhelma. Jest to jedyna córka ks. Fryderyka holenderskiego, stryja zm. króla Wilhelma II, ożenionego z ks. Ludwiką, córką króla Fryderyka Wilhelma III pruskiego, a zmarłego w r. 1881. Księstwo Wied mają pięcioro dzieci: trzech synów, dwie córki. Następca tronu w księstwie, ks. Fryderyk, ożeniony jest z księżniczką wirtemberską. Jak wiadomo, siostrą księcia Wied jest królowa Elżbieta rumuńska.

Ponieważ konstytucya holenderska przepisuje, iż królowi Holandyi nie wolno mieć żadnej innej korony, przeto gdyby kiedyś tron holenderski dostał się jako spadek w. ks. sasko-wejmarskiemu, mógłby on na nim zasiąść dopiero po złożeniu rządów w swem księstwie.



Jubileusz rękodzielnika: Krawiec lwowski Karol Matlas, który w tym miesiącu obchodził czterdziestolecie swego majsterstwa.

Jubileusz rękodzielnika.

W bieżącym miesiącu obchodził we Lwowie znany tamtejszy majster krawiecki p. Karol Matlas, czterdziestoletni jubileusz pracy zawodowej.

Jubilat, człowiek w wieku sędziwym. bo liczący przeszło 70 lat, jest Tarnowianinem z rodu. Wykształcenie fachowe uzupełniał po praktyce w kraju, u nadwornego krawca wiedeńskiego, poczem osiadł we Lwowie i przed czterdziestu laty został tam majstrem. Przez długi szereg lat prowadził swą pracownię wspólnie z p. Kropiowskim a pracownia ta, zarówno za czasów spółki, jak obecnie, gdy p. Matlas sam nią kieruje, należała zawsze do pierwszorzędnych we Lwowie. Zasługą to było niepodzielną jubilata, który pilnował zapobiegliwie swej pracowni i był prawdziwym wzorem dla swych współpracowników. Z pracowni też p. Matlasa wyszło sporo dzielnych, należycie w zawodzie wykształconych krawców.

Z okazji jubileuszu otrzymał p. Matlas mnóstwo życzeń i dowodów sympatyi.

Obok zamieszczamy portret sędziwego jubilata.



Fotografował E. Pierzchalski, Kraków.

Sieroty z zakładu księżnej Ogińskiej pod Przemyślem, zebrane u stóp pomnika Mickiewicza na rynku krakowskim w czasie zwiedzania pamiątek narodowych w Krakowie.

Komendant X. korpusu.

Przed niedawnym czasem rozeszła się pogłoska, iż komendant krakowskiego korpusu, Adolf v. Horsetzky ciężko zachorował.



Tydzień opery lwowskiej w Krakowie: Marya Collignon-Szymańska, primadonna opery teatru miejskiego we Lwowie.

Pogłoska ta powstała wskutek wiadomości, zamieszczonej w dziennikach wiedeńskich o chorobie brata krakowskiego komendanta, jenerała broni Karola v. Horsetzkyego.

Obecnie przynoszą pisma wiedeńskie wiadomość, iż Karol v. Horsetzky uległ w Baden pod Wiedniem ciężkiej chorobie, która od dłuższego czasu nurtowała jego organizm i zmusiła go do podania się o urlop przed rokiem.

Ś. p. Karol v. Horsetzky urodził się w r. 1844 w Pradze, do armii wstąpił w r. 1859, jako uczeń szkoły kadeckiej w Hainburgu; opuścił ją jako porucznik w r. 1863.

Odbywszy w tej randze kampanię szlezwicką i pruską, wstąpił do akademii wojennej, poczem przydzielony do jeneralnego sztabu, odbył jako major kampanię bośniacką z r. 1878.

Przebywając szybko dalsze stopnie wysokiej karyery, został w r. 1895 feldmarszałkiem porucznikiem i w r. 1904 jenerałem broni i komendantem wojskowym w Zadarze.

Z Zadaru został powołany na komendanta X. korpusu w Przemyślu, skąd niedawno wyjechał na dłuższy urlop z powodu choroby i nie powrócił już na swoje stanowisko.

Konkurs piękności.

Kuracyusze w Karlsbadzie mieli świeżo wielką emocyą.

Stowarzyszenie niemieckich literatów i dziennikarzy urządziło konkurs piękności, a dla odmiany miano premiować nietylko piękne kobiety, ale rozdawać postanowiono medale urodziwym jednostkom z tak zwanej niesłusznie brzydkiej połowy rodu ludzkiego.

Nie wiemy jednak, czy z bawiących jednocześnie w Karlsbadzie Polek nie ubiegała się żadna o nagrodę piękności, dość, że na liście premiowanych niewiast nie znajdujemy ani jednego nazwiska Warszawianki (dla urodziwych cór Syreniego grodu zawsze pierwszeństwo — jeżeli idzie o Polki).

Natomiast rzecz szczególna, iż właśnie wśród odznaczonych za piękność mężczyzn spotykamy aż dwóch panów z Galicyi i jednego Warszawianina.

Mianowicie nawet pierwszą nagrodę za urodę męską otrzymał p. Leon Kleber z Warszawy, który już na kilku tego rodzaju konkursach zyskał różne medale

Dwie następne nagrody otrzymali pp. Stanisław Rubczak ze Stanisławowa i Fryderyk Jonas ze Lwowa.

W dziale piękności niewieściej zdobyły nagrody Fernanda Puper z Paryża, Jolanta Singer z Węgier, Aranka Eben-Eibenschütz z Wiesbaden, Nusima z Odesy i Marta Keyslar z Wiednia.

Premiowanym pięknościom męskim i niewieścim mogą się przypatrzyć Czytelnicy na załączonej fotografii.

Pan sekretarz.

(Do portretu na stronie 9).

Ktokolwiek miewa bliższe stosunki ze światem zakulisowym, wie najlepiej, że ile razy ma kto jaki interes w teatrze, zawsze odeślą go ze wszystkiem do pana sekretarza.

Sam dyrektor bowiem bywa niewidzialnym, bez względu na to, czy ma czas, czy też go niema, czy wyjechał, czy też jest w kancelaryi, dość, że trudno się dostać przed jego oblicze... Wszystko załatwi pan sekretarz, a już mniejsza o to, kim jest interesant: aktorem, autorem, dziennikarzem, wysoką figurą lub zwyczajną osobą z publiczności; dość, że dla wszystkich i od wszystkiego jest biedny pan sekretarz— dygnitarz potężny w teatrze i człowiek najbardziej w tym światku kinkietowym zapracowany i zamęczany.

On nigdy istotnie czasu nie ma, tyle zajęcia spada na jego barki, a jednak musi mieć czas dla wszystkich.

Takim „panem sekretarzem“ we Lwowie jest od wielu lat Mieczysław Sachorowski, bez którego nie można sobie wyobrazić lwowskiego teatru.

Na deski sceniczne wstąpił p. Sachorowski jeszcze przed trzydziestu sześciu laty w Poznaniu i odtąd nie rozstawał się już z życiem teatralnem.

W pięć lat później zaangażowany przez Stanisława Dobrzańskiego w r. 1885 do teatru Skarkowskiego, przybył pierwszy raz do Lwowa. Tam występował z równem powodzeniem w dramatach, komedyach, wodewilach, operetkach, a nawet w operach.

Wkrótce jednak Jan Dobrzański zauważył w nim innego jeszcze rodzaju zdolności, skoro odwołał go od czynności aktorskich na urząd wielce odpowiedzialny i trudny, mianując Sachorowskiego w r. 1882 sekretarzem teatru lwowskiego.

Kiedy umarł Jan Dobrzański w r. 1886, opuścił Lwów pan Mieczysław Sachorowski zaangażowany przez dyrektora Gliksona do Krakowa, gdzie pozostawał aż do zamknięcia starego teatru przy placu Szczepańskim, poczem natychmiast powrócił na scenę lwowską, zaangażowany przez ówczesnego dyrektora teatru Skarbkowskiego, Mieczysława Schmitta, a obecnego współwłaściciela i redaktora „Dziennika Polskiego“.

Od tej chwili przez lat kilkanaście zmieniali się dyrektorzy we Lwowie i w starym gmachu hr. Skarbka i w nowym pałacu obecnego teatru miejskiego. Sekretarzem zaś nieodmiennie pozostaje Mieczysław Sachorowski, ku zadowoleniu personalu artystycznego i technicznego w teatrze oraz bywalców teatralnych i prasy.

Zna go dobrze i krakowska publiczność z każdorazowego pobytu letniego w naszem mieście operetki lwowskiej.



Komendant X. korpusu: Ś. p. Karol von Horsetzky, generał komenderujący X. korpusu w Przemyślu, brat głównodowodzącego w Krakowie generała Horsetzkyego.

Dla teatru polskiego położył Sachorowski i trwalsze zasługi, jako tłomacz mnóstwa dobrych sztuk z obcych literatur dramatycznych. Wszystkie jego przekłady miały wybitne zalety literackie, a każda sztuka przez pana sekretarza wybrana do przetłomaczenia, miała nadto szczęście, że najczęściej utrzymała się dłużej w repertoarze. To dowodzi, że pan Sachorowski jest nietylko znakomitym sekretarzem, ale i dobrym znawcą sceny i publiczności teatralnej.



Konkurs piękności: Odznaczone nagrodami na konkursie w Karlsbadzie piękności niewieście i męskie: Od lewej ku prawej panie: Marta Keyzler z Wiednia, Nusima z Odessy, Aranka Eben-Eibenschütz z Wiesbadenu, Jolanka Singer z Węgier i Fernanda Puper (I. nagroda); panowie również licząc od lewej ku prawej: Fryderyk Jonas ze Lwowa, Stanisław Rubczak ze Stanisławowa i Leon Kleber z Warszawy (I. nagroda).

OFIARY WAMPIRÓW.

Romans z życia przez Gr–ego.

21 Ciąg dalszy.

I jeszcze raz odczytał notatkę w gazecie, poczem twarz mu się nagle zmieniła.

— A to głupiec ze mnie, że ja też zaraz na to nie wpadłem... Przecież to nic innego, tylko ten złodziej, łajdak Reman... To on napewne zaaranżował tę całą historyę dla uwolnienia z więzienia Marylki... Pieniądze teraz bestya ma, skoro mnie okradł, więc mógł dobrze za taką rzecz zapłacić... Ależ naturalnie, nie ma się nawet nad czem zastanawiać, to jego dzieło...

Nie mógł baron spokojnie usiedzieć na krześle, tak był tem wzburzony. Wstał i niby czegoś szukając przy bufecie, pokręcił się, ale nie wziąwszy żadnej przekąski, wrócił na swoje miejsce przy stoliku.

— A to mi czmychnął łotr z przed nosa! Już po wszystkiem, nie schwycę go...

Zamyślił się na długą chwilę.

— Gdzież oni być mogą, dokąd mogli uciec... Chyba do Ameryki pojechał z siostrą... A ja go jednak dostanę w swoje ręce!

Natychmiast zapłacił rachunek i opuścił restauracyę, udając się śpiesznie do mieszkania.

W kilka minut później służący podał mu bilet wizytowy gościa, który chciał widzieć się z baronem bezzwłocznie. Goldenthal przeczytał nazwisko: „Mirosław książę Czerski“.

— Ja nie znam tego pana, ale powiedz, że kazałem prosić...

Kiedy baron Goldenthal spojrzał na księcia Czerskiego, gdy ten wszedł do pokoju, wydało mu się, że nogi tak trzęsą się pod nim, iż nie zdoła się na nich utrzymać w postaci stojącej.

Oparł się o krzesło ręką z całej siły, drugą zaś wskazał gościowi fotel, przyczem spuścił wzrok na ziemię, nie mogąc wytrzymać demonicznego spojrzenia gościa.

Twarz księcia miała wyraz przedziwnie surowy, mimo pozornego spokoju.

Na policzki bankiera wystąpiła bladość kredowa.

— Przyszedłem panu baronowi zabrać kilka minut czasu, mam z nim bowiem do pomówienia w bardzo ważnej sprawie...

Bankier zbladł jeszcze bardziej.

— Zwrócę uwagę pańską, panie baronie, że jestem przyjacielem i dawnym towarzyszem niejakiego Żegoty Remana, o którym pan wie, że dawno umarł...

Goldenthal zadrżał.

— Pan wiesz, o kim mówię... Znałeś pan owego Remana...

— Tak — wykrztusił baron.

— Człowiek ten miał dwoje dzieci... nieprawdaż... Syna, który był kupcem i córkę zamężną za Anielskim... Prawda? Otóż i dzieci owego Żegoty Remana znałeś pan zapewne? panie baronie?

Z trudem padło z ust Goldenthala słowo: tak.

— Niewątpliwie znasz pan tedy i dzieci ich, a wnuki Żegoty Remana...

Poruszył się na to baron, a ręka jedna zaczęła mu drgać nerwowo bez przerwy.

— Mam na myśli doktora Jana Anielskiego, ożenionego z Wandą hrabianką Rożniewską z Rożniewa, oraz Ludwika Remana...

W pierwszej chwili Goldenthal nic na to nie odpowiedział, tylko oczy podniósł na księcia, który zupełnie, jak sędzia śledczy, druzgotał go swemi pytaniami.

I naraz coś zbuntowało się w bankierze. Rzucił się w miejscu i zaczął się wyprostowywać.

— Ale właściwie — odezwał się wreszcie — skąd pan do tego przychodzi... Kto i co upoważnia pana do zadawania mi takich pytań i w takim tonie?...

Wystarczało jednak, by książę na te jego słowa przeszył go jednem spojrzeniem, a już baron złamany opuścił głowę i ramiona, powieki przymknął i zamilkł pokornie.

— Przepraszam, ale jeszcze mi pan nie dał odpowiedzi na moje poprzednie pytanie... Wogóle ostrzegam pana z miejsca, panie baronie, że bądź co bądź w pańskim interesie będzie o wiele lepiej, jeżeli mi pan sam dobrowolnie zechcesz odpowiadać na moje pytania, aniżeli — tu pauzę zrobił książę rozmyślnie, zanim dokończył — aniżeli gdybyś pan musiał potem dawać wyjaśnienia na podobne zapytania... prokuratorowi państwa... Sądzę, że to jasne dla pana...

— Prokuratorowi — zapytał, blady, jak ściana, Goldenthal.

— Nie pytaj pan napróżno... po co tu komedya... Przecież pan sam wiesz najlepiej, dlaczego wnuki tego milionera są dziś niemal żebrakami...

To wystarczyło. Goldenthal stracił odrazu wyraz arogancyi, który mu nigdy z twarzy nie schodził, nawet w chwilach największego niepowodzenia.

Odtąd już odpowiadał na pytania księcia, który zasypując go niemi, zmuszał do wyczerpujących wyjaśnień.

Treść jego opowiadania powtórzymy w kilku słowach.

Oto kiedy Żegota Reman swego czasu z Borneo powrócił do ojczyzny po burzliwych przygodach, jakie miał w podróży i skutkiem których dużo czasu minęło, zanim znalazł się w Polsce, udał się do ojca obecnego barona Goldenthala z propozycyą, by ten zajął się odszukaniem w kraju jego dzieci.

W ostatnich czasach bowiem Żegota Reman nie miał przez szereg lat żadnych wiadomości ani o córce ani o synu.

Brat również nie wiedział nic o siostrze, jak siostra o bracie. Los rzucał nimi z miejsca na miejsce po kraju dla chleba...

Oboje wiedzieli o ojcu, że ten tuła się kędyś po świecie za morzami i wyglądali daremnie wiadomości o nim lub od niego, gdy on znowu pod koniec, nie znając wcale miejsca pobytu swych dzieci, wcale pisywać nie mógł do nikogo z rodziny w kraju.

Stary Goldenthal zajął się poszukiwaniem dzieci Remana, lecz po pewnym czasie udało mu się odnaleźć jedynie córkę Żegoty, panią Adelę Anielską, wdowę po prywatnym oficyaliście w dobrach hrabiów Krasińskich.

Żyła ona na prowincyi, w smutnych warunkach materyalnych, a miała przy sobie syna jedynaka Jana, który chodził do gimnazyum.

Uradowała się ona wielce, list odebrawszy z wiadomością, że ojciec jej powrócił do Europy. Proszono ją, by natychmiast, o ile możności, przyjechała do niego do Wilna.

Zanim przybyła na miejsce, staremu Remanowi pogorszyło się znacznie w chorobie, którą przywiózł już ze sobą z Borneo — tak, że wreszcie zastała ojca umierającego.

Poznał ją jeszcze, konając i zdążył osobiście wręczyć jej papiery, które przedstawiały dla niej wartość ogromną.

Jednakowoż kobieta ta nie troszczyła się zupełnie o bogactwa swego ojca, o których wogóle nie miała pojęcia i z których rozmiarów nie zdawała sobie sprawy.

Z rąk konającego ojca odebrawszy papiery, schowała je, zamknęła i odtąd ani ona, ani nikt inny nie zgłaszał się do ojca Goldenthala lub po śmierci tegoż, do barona — w sprawie ostatnich rozporządzeń przedśmiertnych Żegoty Remana, który wzbogacił się za morzami, poszukując dyamentów.

Po tem ostatniem zapewnieniu barona, zapytał nagle książę Czerski:

— A przecież następnie wyśledziłeś pan miejsce pobytu właściwych dziedziców owej fortuny, dlaczego zatem nie zwróciłeś pan im części należnej ze spadku po Żegocie Remanie.

Bankier zaczął się wikłać w odpowiedziach na to nagłe zapytanie, tłómacząc się, że poznał tych spadkobierców jedynie przypadkowym sposobem.

Groźne błyski zaświeciły w oczach księcia.

— Czemu nie zwróciłeś im pan prawej ich własności? — powtórzył surowym tonem pytanie.

Baron kręcił się, jak robak miażdżony potężnym wzrokiem księcia. Czuł, że miał naprzeciw siebie człowieka, z którym mu łatwo nie pójdzie..

Używał wszelkich sposobów, byleby tylko pozbyć się tak niedogodnego gościa, ale jeszcze nie prędko udało mu się wyforować go z domu.

Znużony już naleganiem Czerskiego, jął się tłómaczyć, iż głównej części majątku Remana nigdy właściwie nie miał sam w swem ręku...

— Zapewne księciu wiadomo, że stary Żegota Reman skarby swoje ukrył w bezpiecznem miejscu... a nie powierzył ich mojemu ojcu...

— Tak — odparł Czerski — ale pan znasz to ukrycie, panie baronie...

Goldenthal nie mógł temu zaprzeczyć, tak przenikliwie świdrował go wzrokiem Czerski.

Po chwili milczenia książę dorzucił znowu:

— Panu nie wolno było, panie baronie, tykać tych skarbów, które nie były pańską własnością...

— Uczynił to kto inny — podchwycił śpiesznie Goldenthal, oddychając ciężko.

— Kto inny, powiadasz pan, panie baronie... a może mi pan powiesz jeszcze, kto to taki, ten inny?

— Jeden ze spadkobierców, Ludwik Reman.

Nastała chwila ciszy, w której słychać było, jak bankier dyszał ciężko.

Książę wykrzywił twarz uśmiechem ironicznym

— A czy ja mogę w to wierzyć, panie baronie, że tym kimś był istotnie nie pan sam, lecz Ludwik Reman.

— Powiedziałem prawdę — rzekł spokojnie bankier.

Książę przez krótką chwilę przypatrywał mu się wzrokiem badawczym, wreszcie odezwał się:

— Chcę panu wierzyć, panie baronie i nie będę dalej badał...

Teraz Goldenthal odetchnął, jak gdyby mu kamień ciężki odpadł z piersi. Ale nanowo zaniepokoił się, widząc, że książę nie myśli jeszcze odejść

Istotnie Czerski raz jeszcze zwrócił się do niego:

-- Panie Goldenthal, pan masz zamysły, pewne jeszcze... zamiary, które ja już z góry przejrzałem.. nie, tego pan nie zaprzeczysz, wiem najlepiej sam, co pan postanowiłeś... Otóż uprzedzam pana w porę... strzeż się pan mnie, żebyś pan tego potem nie poterzbował żałować po niewczasie... Radzę panu, żebyś nie zamyślał starać się pokrzyżować moich planów. Zresztą jesteś pan i tak już człowiekiem dość chyba bogatym, więc poprzestań pan na tem i nie wyciągaj pan ręki po cudze skarby, nie staraj się zdobywać własności obcej... Radzę panu, pa nie baronie...

Po tych słowach obrócił się książę i zmierzał ku drzwiom.

Bankier milczał z głową na dół spuszczoną.

Czerski odwrócił się od drzwi jeszcze, spojrzał na Goldenthala i po chwili dodał:

— To wcale nie próżne groźby, panie baronie... weź pan sobie do serca moje słowa i namyśl się pan nad niemi...

Nareszcie opuścił go ten gość straszny, który zamęczał go wzrokiem i słowy.

Baron wściekły rzucił się na kanapę odetchnąć, a książę powoli schodził ze schodów.

A kiedy znalazł się już na ulicy, zniknął z jego twarzy wyraz dumy, a natomiast osiadł ciężki smutek na jego policzkach, że musiał mu współczuć każdy, ktoby mu się teraz uważniej przypatrzył.

Cypryan i Laura.

— O, gdybym mógł dziś odebrać wiadomość od niej — westchnął Czerski, myśląc o swej córce jedynej. — Gdybym przynajmniej dowiedział się, że ona żyje... Co bym dał za to w tej chwili...

Dumny ten człowiek cierpiał niewymownie...

On na całym świecie miał dzisiaj tylko Laurę.

Bliższych stosunków wogóle nie utrzymywał z rodziną, jakkolwiek licznych miał krewnych i po ojcu i po matce; sam domu otwartego nie trzymał i nigdzie nie bywał u znajomych dawnych, ani nowych nie nawiązywał znajomości.

Mógł słusznie uchodzić za samotnika.

Żżył się też tak ze swą córką jedyną, która mu cały świat zastępowała od czasu śmierci żony i drugiego dziecka, że łatwo sobie wyobrazić, jaką pustkę naraz uczuł wokoło siebie, gdy mu teraz Laury zabrakło.

Dniami i nocami myśl jego błądziła hen, manowcami, szukając straconej jedynaczki...

Co godzina wpadał na inny pomysł, jakim by sposobem dało się ją odszukać.

Codzień inaczej tłomaczył sobie jej zniknięcie.

Aż dziś wreszcie rozmyślając nad tem, zaczął zastanawiać się nad osobą pewnego człowieka, którego Laura znała krótko wprawdzie, ale o którym, jak mu się zdawało, musiała nieraz myśleć, wywarł on bowiem na niej swego czasu niemałe wrażenie.

Przypomniał sobie, że przypadkowym sposobem poznali raz młodego a pełnego talentu malarza, którego portrety pastelowe niezwykle podobały się księciu...

Był nim Cyprjan Krzesiak.

Chciał mu książę Czerski pomódz w sposób delikatny i zaproponował mu zrobienie portretu córki.

Młody artysta z radością przyjął propozycyą. Na życzenie księcia zjawił się w jego pałacu, zgodził się na umówioną cenę za portret, a była to cena stosunkowo tak wysoka, że nie marzył naówczas nawet, by za lat kilka mógł stawiać za swoje prace tak poważną cyfrę honoraryum.

Za takie pieniądze miał ułatwione paroletnie studya.

Do pracy swojej przygotowywał się z zapałem. Serce biło mu młotem w piersi, kiedy po raz pierwszy stanął przy stalugach naprzeciw upozowanej odpowiednio Laury.

Księżniczka siedziała na taboreciku przed oknem nieruchomo, jak posąg, jakkolwiek portrecista malował tylko jej popiersie.

Ojciec obok w fotelu przypatrywał się uważnie postępom pracy młodego artysty i był zupełnie zadowolony zaraz od pierwszego posiedzenia.

Istotnie Cyprjanowi wiodło się. Sam zdumiewał się, że malował z taką pewnością i śmiałością.

Książę zapewniał go ciągle, że nie potrzebuje krępować się wcale ilością posiedzeń.

Model był wprawdzie spokojny, nieraz przez dziesięć minut ani nie poruszył głową, ale za to zmieniał się z dniem każdym przedziwnie.

Malarz za każdem następnem posiedzeniem wpadał w istną rozpacz na widok zmian zasadniczych w duchowym obrazie portretowanej osoby.

Co namalował jednego dnia, musiał przerabiać nazajutrz.

Napozór główka ciągle ta sama, z oczyma wpatrzonemi jak w tęczę w pracującego artystę.

A jednak te oczy, te usta... coraz to się zmieniały nie do poznania...

Nie mógł odgadnąć przyczyny tych zmian, bo zrazu nie wiedział o jednej rzeczy.

Laura prócz ojca nie znała jeszcze bliżej ni gdy żadnego mężczyzny skutkiem właśnie samotniczego niemal życia księcia Mirosława. Wszak nikt u nich nie bywał w pałacu w alejach Ujazdowskich, ile razy zaś wyjechali za granicę, czy do kąpiel, czy na Riwierę nieraz zimową porą, to z nikim nigdzie znajomości nie zawierali pod żadnym warunkiem.

Z wyjątkiem ojca otoczona od dziecka tylko kobiecem towarzystwem, nie miała Laura dotychczas nawet sposobności przypatrzeć się z bliska młodemu mężczyźnie.

Mogła sobie powiedzieć, że znała mężczyzn jak dotąd, jedynie z książek, z powieści polskich, francuskich i angielskich.

Cyprjan Krzesiak był tedy pierwszą okazyą dla młodziutkiej księżniczki. Mogła mu się do woli przyjrzeć z bliska tak, jak jeszcze nie patrzyła na nikogo w życiu, niemal tak, jak patrzyć mogła na ojca, ponieważ nie krępowały jej żadne względy z tego powodu, że upozowano ją do portretu w ten sposób właśnie, iż oczy jej musiały być bez przerwy zwrócone na stalugi, czyli, że wzroku nie spuszczała ani na chwilę z twarzy malarza.

A była to twarz i zajmująca i piękna, Cyprjan bowiem mógł uchodzić za młodzieńca bardzo przystojnego, nawet za piękność męzką.

Kiedy na niego patrzyła księżniczka tak całemi kwadransami bezustanku, po główce jej snuły się najrozmaitsze sceny z przeczytanych w różnych czasach romansów, na których bohaterów urastał teraz w oczach jej duszy piękny młodzian artysta przy stalugach.

A tembardziej rósł on w jej oczach, ile że był właśnie artystą, wyglądał artystycznie i że widziała go przy pracy twórczej.

To uroku dodawało młodzieńcowi, który od pierwszej chwili, gdy się te wszystkie okoliczności uwzględni, musiał zająć panienkę w najwyższym stopniu.

Zrazu marzyło się tylko coś o tem dziewczynie: „a gdybym ja się tak zakochała w tym pięknym artyście"...

Stopniowo zaczęła po tem już chętnie wmawiać w siebie, że jest w nim zakochana...

A wówczas zaczęły dręczyć ją w myśli pytania uporczywe:

— Czy on mnie... także?...

Z początku bawiła się tem wszystkiem niby dziecko rozpieszczone... Ale ponieważ z myśli swych nie zwierzała się przed nikim i nosiła w sobie tę tajemnicę coraz bardziej na seryo, rzecz tedy łatwa do zrozumienia, iż rychło sama poważniała, w zamyśleniu wpadając w stan melancholijny.

To z pęcza kwiat się rozwijał.

To z dziecka-dziewczynki przeradzała się Laura w kobietę.

Więc nie dziw, że twarz jej podlegała, za każdem następnem posiedzeniem, przy pozowaniu malarzowi, tak widocznym dla niego odmianom, z których on sobie nie mógł zdać sprawy.

Dlatego jej oczy, dlatego jej usta przybierały coraz to inny wyraz.

I dlatego właśnie obraz podobny poprzedniego dnia do złudzenia, przestawał być podobnym w dniu następnym, już nie zadawalając artysty, mimo, że się w tem nie oryentował książę i nie mogła dopatrzeć się tego księżniczka.

Ona tylko zachwyt niemy miała dla jego dzieła.

A poza tem obchodziło ją już nie to, jakim jest, czy jakim będzie portret, tylko czy ona znajdzie wzajemność w twórcy obrazu...

Czy podobna, by ten artysta mógł nie zająć się nią i widzieć w niej jedynie przedmiot godny namalowania...

Nie sposób, by do końca mógł pozostać obojętnym i mieć dla niej jedynie oko malarskie.

— Skoro ja go kocham, to choćby tego nawet nie przeczuwał, musi zapłonąć miłością do mnie...

I zaczęła patrzeć na niego innemi oczyma. Śledziła każde jego spojrzenie, chcąc wybadać, co się dzieje w jego duszy, gdy na nią spogląda od stalug.

A Cypryan istotnie zmienił się również. Wprawdzie w zachowaniu się jego książę-ojciec nie mógłby był zauważyć żadnej zmiany. Od pierwszego posiedzenia jednako podobał mu się ten człowiek, któremu nie mógł nic zarzucić...



— Panu nie wolno było, panie baronie, tykać tych skarbów, które nie były pańską własnością....

Ale Laura spostrzegła, że patrzał na nią teraz inaczej...

Już Cypryan zaczynał zdawać sobie sprawę z tego, że budzi się w nim miłość prawdziwa dla uroczej księżniczki, kiedy mu Czerski polecił malować drugi obraz.

Popiersie Laury wykończone nie zadawalało samego artysty, chociaż bardzo się podobało jej ojcu, który młodemu malarzowi nie szczędził po chwał.

Do drugiego obrazu miała mu księżniczka pozować już inaczej. W pół leżąco na otomanie, z głową opartą na dłoni, miała trzymać w ręku kwiat irisu i przypatrywać mu się. Nad nią zwieszały się liście ogromnej palmy, tworząc dla główki Laury tło egzotyczne.

Kiedy odbyto pierwszą próbę pozowania, wybiegł Cypryan z pałacu w Alejach jak szalony.

Pędził do Łazienek, nie widząc i nie słysząc nic dokoła. Aż tam, w parku nad sadzawką, przed pałacykiem królewskim, przystanął i oprzytomniał.

Pod pomarańczowemi drzewami usiadł i schwyciwszy w dłonie rozognioną głowę, szepnął do siebie:

— Co teraz będzie?

I zerwał się znowu z miejsca, trawiony niepokojem.

Krążąc nad sadzawką, śledził oczyma pływające majestatycznie po wodzie łabędzie białe i czarne i rozmyślał nad tem, czy ma wziąć się do malowania drugiego portretu Laury, czy też uciec z Warszawy i starać się zapomnieć o księżniczce.

— Ja dłużej nie wytrzymam... lada chwila zdradzę się... Przecież to będzie długo trwało, dłużej niż popiersie... Więc będę codzień patrzał na nią, codzień godzinami będę napawał wzrok widokiem jej wdzięków, jej młodości...

On już kochał ją gorąco, dziś już byłoby mu trudno chcieć o niej zapomnieć. A jeżeli teraz będzie serce swoje drażnił codzień coraz bardziej, to miłość nieszczęśliwa rozpłomieni się w jego duszy do tego stopnia, iż przestanie nad sobą panować.

A cóż wtedy?

Wszak wiedział, kogo pokochał. I cóż mu po niej... Czyż mu ona może miłość jego szaloną odwzajemnić...

A gdyby nawet urok artysty rozdmuchać gotów iskierkę uczucia dla ubogiego młodzieńca w świeżem serduszku niewinnego dziecka pałacu— myślał sobie — to tem gorzej. Surowe spojrzenie dumnego księcia mówiło dość wyraźnie. Wiedział, że nie potrzebowałby się był ani przez jedną chwilę łudzić pod tym względem. Odepchnęliby go, odpędzili, wyśmieliby...

Ot, malarz... artysta... Czego mu się zachciewa, córki milionera, księżniczki Czerskiej...

Za żonę nie da mu jej ten dumny książę, choćby go nawet zaślubić chciała piękna panienka...

A kochanką jego potajemnie to dziecko nie zostanie... nawet w tym wypadku, gdyby się w nim istotnie zakochała do szaleństwa...

Tak rozmyślał Cypryan zrozpaczony i była chwila, kiedy się już decydował napisać do księcia Czerskiego list, w którym chciał go przeprosić, że nie może wypełnić zobowiązania i wyjeżdża.

Po rozwadze jednak postanowił próbować, czy nie uda mu się panować nad sobą przy pracy nad obrazem — i nazajutrz przyszedł na pierwsze posiedzenie.

I tym razem książę nie zauważył w zachowaniu się artysty żadnej zmiany, mimo, że przez cały czas pozowania nie opuszczał młodej pary.

Laura była na pozór spokojna, jakkolwiek trawiła ją gorączka wewnętrzna.

Czuła, że kocha go serdecznie i zaczynała smucić się nad losem tej nieszczęsnej miłości. I ona bowiem nocami rozmyślała nad sobą i pojmowała, że miłość jej choćby wzajemna, musi źle skończyć się dla nich obojga.

Mimo to pragnęła za wszelką cenę jak najprędzej dowiedzieć się, czy Cypryan jest nią tak zajęty, jak ona i bynajmniej nie chciała pozbywać się myśli o nim...

Owszem, mimo wszystko, z uporem przedziwnym myślała o Cypryanie dniem i nocą. Kochała go mimowoli i chciała go kochać.

W czasie następnego posiedzenia odwołano w ważnym interesie księcia Czerskiego. Wyszedł więc, zostawiając ich samych.

Laura siedziała w leżącej postawie na otomanie bez ruchu, Cypryan malował zawzięcie.

Po chwili ciszy, malarz odezwał się pierwszy:

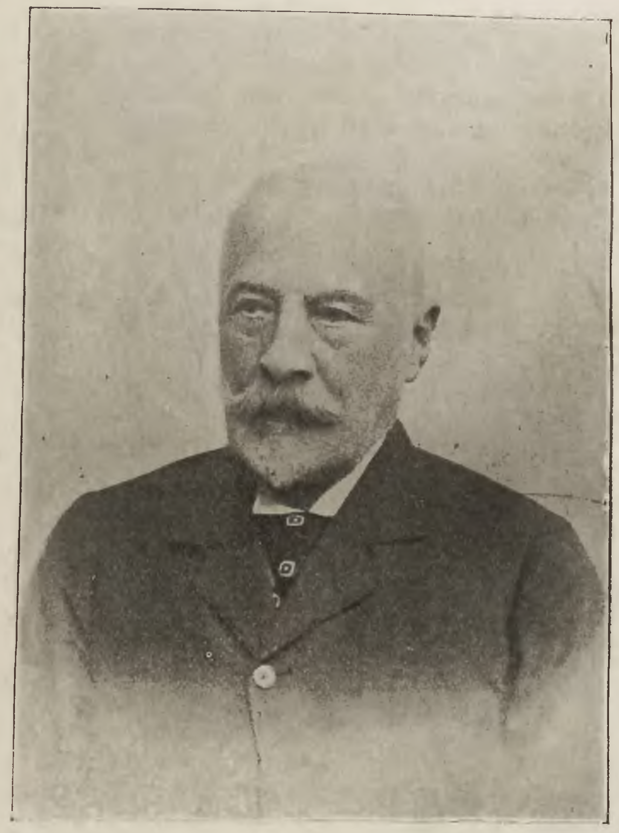
— Przepraszam, ale pani poruszyła się nieco, jeżeli się nie mylę...

Zdarzało się to często i w takim wypadku Cypryan szedł do modela sam i poprawiał pozę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przodownik ziemian Królestwa Polskiego.

Tradycyą od kilku dziesiątków lat prezes warszawskiego Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego jest niejako przodownikiem ziemian Królestwa Polskiego. — Takim był w ostatnich kilkunastu la-



Fot. J. Mieszkowski.
Przodownik ziemian Królestwa Polskiego: Włodzimierz Światopełk ks. Czetwertyński, nowoobrany prezes komitetu Tow. Kredytowego Ziemskiego w Król. Polskiem, w miejsce Ludwika Górskiego.

tach czcigodny Ludwik Górski, który po półwiekowej pracy dla tej instytucyi, usunął się obecnie w zacisze domowe, zrezygnowany z godności prezesa Dyrekcyi Głównej. Miejsce jego zajął wybrany świeżo prezes, Włodzimierz książę Czetwertyński. Podajemy Czytelnikom obok portrety ich obu, ustępującego prezesa i jego nowego następcy.

Włodzimierz Światopełk ks. Czetwertyński jest synem ś. p. Kaliksta ks. Czetwertyńskiego, oficera 5 go pułku ułanów wojsk polskich, i Zofii jenerałówny Kropińskiej z Woronczyna na Wołyniu, gdzie urodził się d. 26 go września 1837 go r., liczy więc obecnie lat 69.

Obecny prezes T. K. Z. zaznał w r. 1863 doli większości ówczesnej młodzieży patryotycznej, po krwawych i smutnych wypadkach ostatniego powstania; przez szereg lat dzielił losy wygnania z wielu najwybitniejszymi działaczami narodowymi.

Powróciwszy z wygnania, Włodzimierz ks. Czetwertyński w r. 1872 zaślubił we Lwowie dziedziczkę majętnego rodu Uruskich hr. Maryę i osiadłszy w Warszawie, otworzył tu w pałacu Uruskich jeden z naczelnych i najgościnniejszych domów towarzystwa warszawskiego, przodujący nie tylko w salonowym, ale przedewszystkiem w kierunku filantropijnym wszelkim przedsięwzięciom dobroczynnym, jakie od lat wielu były w mieście naszem podejmowane.

Zasługi na tem polu powołały też Włodzimierza ks Czetwertyńskiego na prezesa W. T. D.

Wybitny obywatel Warszawy, nie przestał też Włodzimierz ks. Czetwertyński być nim na wsi, w gub. siedleckiej, gdzie jego dobra Milanowskie przyświecają dobrym przykładem okolicy pod każdym względem.

To też obdarzony zaufaniem współziemian, w r 1884 powołany był po raz pierwszy na radcę dyrekcyi głównej T. K. Z, skąd, wybierany stale przez lat 6, przeszedł w r. 1890 do komitetu T. K. Z., który obecnie, po 22 latach pracy dla naszej instytucyi ziemiańskiej, powołał ks. Czetwertyńskiego na jej stanowisko naczelne.

Jest więc nowy prezes T. K. Z. doświadczonym i wypróbowanym spraw jego znawcą i rzecznikiem, a łącząc szczere oddanie się umiłowanej instytucyi z wybitnemi warunkami majątkowemi i towarzyskiemi, będzie niewątpliwie najodpowiedniejszym i zawsze na wysokości zadania stojącym przewodnikiem.



Fot. J. Mieszkowski.
Przodownik ziemian Królestwa Polskiego: Ludwik Górski, sędziwy i zasłużony ziemianin, od lat 16 prezes komitetu Tow. Kredytowego Ziemskiego w Król. Polskiem, który obecnie po przeszło półwiekowej w tej pracy instytucyi, zrezygnował z godności.

„Pomoc koleżeńska“.

W dniu 29 lipca b. r. odbył się w Nowym Sączu staraniem „Pomocy koleżańskiej“ Zjazd rządowego pomocniczego personalu kancelaryjnego, celem którego było ustanowienie postulatów w sprawie ustawowego unormowania stosunków służbowych i materyalnych tegoż personalu.

Zjazd odbył się w głównej sali posiedzeń Rady miejskiej w ratuszu. Wzięli w nim udział oprócz delegatów prawie wszystkich bratnich Towarzystw galicyjskich, licznie zaproszeni goście, oraz koledzy tak miejscowi jak i zamiejscowi.

O godzinie 2 15 zagaił zebranie p. W. Wierzbicki, prezes Towarzystwa „Pomoc koleżańska“, poczem przystąpiono do porządku dziennego. Głos zabierali pp. W. Horodyski z Krakowa, T. Bunda



Pomoc koleżeńska: Zjazd rządowego pomocniczego personalu kancelaryjnego, staraniem Towarzystwa „Pomoc koleżeńska“ w Nowym Sączu.

ze Lwowa, A. Beck z Rzeszowa, G. Jakubowicz, J. Fołta, A. Kudlik i St. Ciszek z Nowego Sącza, oraz p. St. Salabura z Limanowej.

Zebrani uchwalili rezolucyę, domagającą się od Izby Panów odrzucenia projektowanej ustawy z roku 1901 a od Izby posłów jaknajenergiczniejszej akcyi w sprawie przeforsowania ustawy z 1904 r., projektowanej przez posłów pp. Pommera, Pautneka Breitera i tow., oraz przeprowadzenia rewizyi ustawy z roku 1872, dotyczącej wysłużonych podoficerów wojskowych tzw. certyfikatystów, jako ustawy nie odpowiadającej obecnemu duchowi czasu.

Obecny na zjeździe poseł do Rady Państwa, August hrabia Breza przyrzekł zebranym, że sprawą ich odtąd żywiej się zajmie i stale ją popierać będzie.

Po nader licznych przemówieniach, zamknięto dyskusyę o godz. 8-ej wieczór.

Przed zjazdem odbyła się wspólna fotografia delegatów łącznie z kolegami i koleżankami zamiejscowemi i miejscowemi.

Reprodukcyę tej grupy znajdzie Czytelnik w dzisiejszym numerze.

Lasy miasta Lwowa.

Gmina miasta Lwowa posiada bardzo cenne dobra, położone w najbliższej okolicy, i mogłaby z dóbr tych, zarówno z folwarków, jak lasów ogromnych, ciągnąć bardzo znaczne dochody, gdyby w nich lepszą była gospodarka. Zwłaszcza lasy, należące do gminy lwowskiej, są majątkiem pierwszorzędnej wartości. Najpiękniejsze, prawie wyłącznie szpilkowe, posiada Lwów w Brzuchowicach, uroczej miejscowości klimatycznej.

Sprawa podwyższenia dochodów z tych dóbr miejskich była już niejednokrotnie przedmiotem rozpraw i dyskusyi w pełnej Radzie oraz rozmaitych komisyach. Jednym z epizodów tej akcyi była przeprowadzona niedawno, na skutek uchwały komisyi dóbr miejskich, lustracya folwarków i lasów.

Przeprowadzono ją przy współudziale znawców leśnictwa i rolnictwa, poczem uczestnicy lustracyi przedłożyli prezydyum miasta swoje uwagi o gospodarstwie w folwarkach i lasach, a następstwem



Lasy pod Lwowem: Grupa członków komisyi lustracyjnej w lasach w Bryńcach zagórnych pod Lwowem: od lewej ku prawej 1. leśniczy miejski Bidziński, 2. radca B. Ostrowski; 3. prof. dr. P. Dziwiński; 4. prof. Janeczko.



Katastrofa na morzu: Zatonięcie niedaleko brzegów hiszpańskich emigranckiego okrętu „Sirio“, wiozącego tysiąc wychodźców z Barcelony do Buenos Ayres, przyczem zginęło około 300 ludzi.



Fot. dla „Nowości Illustr.“ W. Lis.
Po kweście: Popularny na bruku krakowskim, stary kwestarz od OO. Kapucynów, który częstuje nieskąpiących mu jałmużny dla klasztoru, sławną tabaką kapucyńską.

tego będą zapewne wskazane w tych sprawozdaniach reformy.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy zdjęcie grupy członków komisyi lustracyjnej, w skład której wchodzili między innymi prof. szkoły lasowej p. Janeczko (jako znawca), członek Rady miejskiej prof. dr Placyd Dziwiński i radca magistratu p. B. Ostrowski. Zdjęcie zrobione podczas pracy w Bryńcach zagórnych, pow. Bobreckiego.

Po kweście.

Znacie „Pamiętniki kwestarza“? Któżby ich nie znał od lat dziecinnych... Takich kwestarzy już dzisiaj niema w Polsce.

Mimo to, póki są klasztory, chodzą wszędzie braciszki zakonne po kweście...

Takim typowym kwestarzem na bruku krakowskim jest braciszek od Ojców Kapucynów, którego widać na załączonej fotografii.

Pozna go tu każdy.

Swoim zwyczajem, ze skarbonką na miedziaki jałmużny i z ukrytym pod brązowym habitem workiem płóciennym na datki łaskawe — częstuje na wszystkie boki tabaczką, sławną tabaką kapucyńską, ostro zaprawianą, po której kicha się bez końca, a która jednak licznych musi mieć amatorów, skoro przed każdą wędrówką po mieście, Kapucyn napełnia nią na nowo wypróżnioną do dna tabakierę.

Nasi młynarze.

Bardzo ważną gałęzią przemysłu i w Galicyi, jako w kraju rolniczym, mającą dużą przyszłość oraz warunki rozwoju, jest młynarstwo. Niestety znajduje się ono u nas jeszcze na bardzo niskim poziomie, a co najgorsza, było do niedawna zupełnie niezorganizowane, podjęta bowiem swego czasu próba zjednoczenia młynarzy nie powiodła się i stowarzyszenie ich z powodu apatyi członków, po krótkim żywocie, rozbiło się. Stąd też walka młynarstwa krajowego z silnie zorganizowaną konkurencyą poza galicyjską była bardzo trudną i bardzo ciężką.

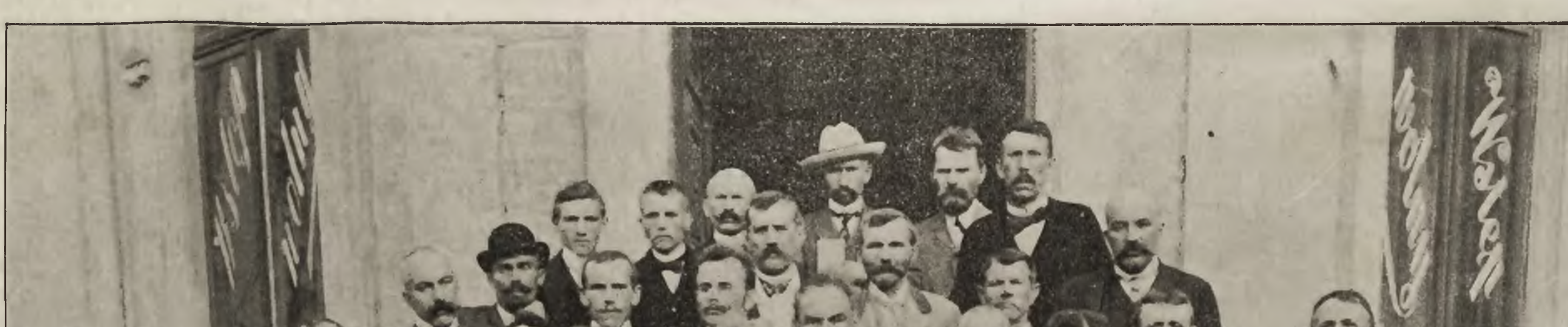
Szczere uznanie tedy należy się gronu młynarzy galicyjskich oraz redaktorowi „Dźwigni“ p. Z. Korosteńskiemu za to, iż doprowadzili po długich, żmudnych usiłowaniach do ponownej, obecnie silniejszej koncentracyi młynarstwa galicyjskiego, której wyrazem jest stowarzyszenie pod nazwą: Koło młynarzy.

Stowarzyszenie to, mimo iż istnieje od niedawna, rozwinęło się już bardzo pięknie i rozporządza znacznymi funduszami. Organem jego jest „Gazeta młynarska“, omawiająca zawodowe sprawy naszego młynarstwa.

W zeszłym tygodniu, w niedzielę, odbyło się we Lwowie, w lokalu Izby handlowo-przemysłowej, walne zgromadzenie „Koła młynarzy“, pod przewodnictwem energicznego prezesa p. Lauruka. Na zgromadzeniu tem powzięto szereg donosłych uchwał, a sprawozdanie z czynności wy-



Najmniejszy Krakowianin: L. Braun, art. malarz 26-letn. wzrostu 1 m. 30 cm., obok wysokiego artysty operetki J. Maszyńskiego-Krzewińskiego. (Fot. W. Lis).



Nasi młynarze: Zjazd galicyjskich młynarzy we Lwowie. (Fot. dla „Nowości Illustr.“ Marek Münz we Lwowie).

działu, przedłożone członkom, stwierdziło pomyślny rozwój stowarzyszenia oraz zadawalające wyniki akcyi w kilku sprawach.

Rycina nasza przedstawia grupę uczestników walnego zgromadzenia „Koła młynarzy“, zebranych po posiedzeniu na podwórzu Izby handlowo przemysłowej.

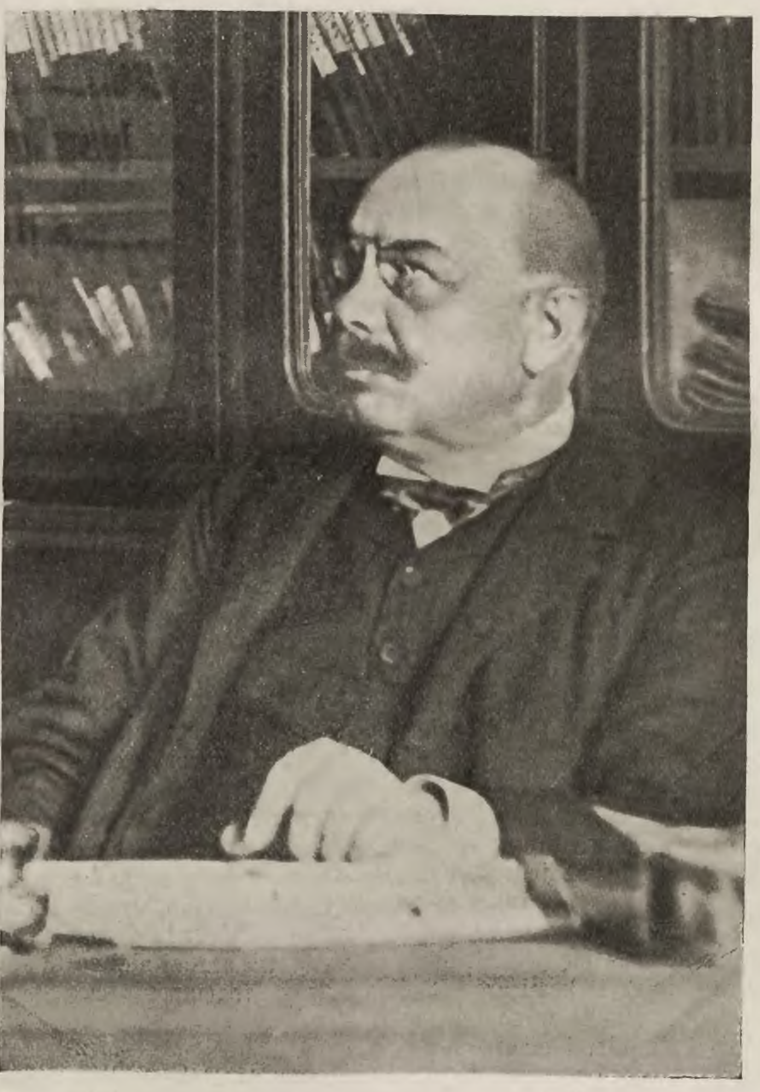
Najmniejszy Krakowianin.

Co za kontrast — zawoła każdy na widok załączonej fotografii. Obok mężczyzny, bynajmniej nie olbrzyma, tylko zwyczajnie wysokiego wzrostu człowieka, stoi mężczyzna dojrzały, a jednak wyglądający jak dziecko. Ten wysoki, to młody p. Julian Maszyński z Warszawy, obecnie występujący pod nazwiskiem Krzewińskiego w operetce lwowskiej w Krakowie, zdolny śpiewak, a zarazem autor sceniczny, którego zabawną sztukę pt.: „Paweł i Gaweł“ z powodzeniem grywa od pewnego czasu teatr ludowy na Rajskiej. Jego zaś mały towarzysz, to p. Leopold Braun, bezwątpienia najmniejszy wzrostem Krakowianin.

Spotykamy go od roku często wszyscy na plantach, zwłaszcza w okolicach teatru miejskiego lub Akademii malarskiej. Każdy mimowoli musi zwrócić uwagę na tego niezwykłego człowieka, którego twarz potwierdza, że liczy już 26 lat wieku, mimo, że wzrostem nie przekracza metra i 30 centymetrów.

Schwyciwszy niemal przypadkowym sposobem do aparatu redakcyjnego tę niezwykłą w kontrastach wzrostu parę artystyczną, prosiliśmy sympatycznego Liliputa krakowskiego, by nam coś o sobie powiedział.

Urodziłem się w roku 1880 w Krakowie — mówił nam tedy p. Braun — a rodzice moi, znani swego czasu cytrzyści, udzielali tutaj lekcyj na tym instrumencie. Również w Krakowie chodziłem do szkół, naprzód do ewangelickiej, potem do normalnych. Miałem lat czternaście, kiedy za dyrekcyi Pawlikowskiego wystąpiłem w r. 1894 po raz pierwszy na deskach scenicznych w wystawionym wtedy w teatrze miejskim w Krakowie balecie „Wesele w Ojcowie“. Powodzenie miałem ogromne.



Pan sekretarz: M. Sachorowski, sekretarz teatru miejskiego we Lwowie.

W następnym roku wyjechałem z rodzicami z Krakowa w celach koncertowych. Jestem bowiem skrzypkiem. Początkowo uczyłem się grać u swego ojca, a następnie brałem lekcye u p. Maleczka, kapelmistrza 20 pp.

Z rodzicami podróżowałem po Austryi, Prusach i Rosyi.

Przed sześciu laty osiadł mój ojciec w Królestwie Polskiem, przyjąwszy tam stałą posadę kapelmistrza wojskowej orkiestry. Jednocześnie i ja tam objąłem stanowisko kapelmistrza orkiestry u księcia Radziwiłła.

Trzy lata temu ojciec przeniósł się na Daleki Wschód, ja zaś w Warszawie zapisałem się do szkoły rysunkowej, którą przed rokiem ukończyłem z dobrym stopniem. Za pobytu swego w Warszawie występowałem w teatrze Renaisance w balecie, a także w roli charakterystycznego kapelmistrza. Pisały o mnie wszystkie pisma, miałem świetne recenzye w swojej karyerze scenicznej.

Ale mimo to przyjechawszy przed rokiem do Krakowa, wstąpiłem do Akademii sztuk pięknych i studyuję teraz malarstwo na kursie prof. Wyczółkowskiego.

* * *

Istotnie pan Braun obok zdolności muzycznych i choreograficznych, ma talent rysunkowy, o czem świadczyły prace jego na ostatniej wystawie w Akademii.



Fot. dla „Nowości Illustrowanych“, aparatem redakcyjnym W. Lis.

Tydzień opery lwowskiej w Krakowie: Na scenie teatru miejskiego w Krakowie personal opery lwowskiej, na próbie z drugiego aktu opery Pucciniego „Cyganerya“; na tle chórów widać na pierwszym planie wykonawców głównych partyj: Mimi — Mokrzycka, Musette — Miłowska, poeta — Orzelski, malarz — Zaremba, muzyk — Ludwig, filozof — Mossoczy, radca — Paszkowski; na boku stoi reżyser Pasławski; z orkiestry widać głowę dyrygującego kapelmistrza Rukawiny, obok leży partytura opery.

Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

22 Przerobił J. R. Dokończenie

Paweł na palcach zbliżył się ku nim i korzystając z nieuwagi, skrył się w gąszczu tuż obok nich, tak, że słyszał każde ich słowo.

— Prosiłem cię, matko — mówił Robert z gniewem — żebyś tu nie przychodziła do mnie. Nie wystarcza ci to, że dostajesz regularnie pieniądze co tydzień? Sama nie wiesz może, na co mnie narażasz.

— No, nie gniewaj się, chciałam cię jeszcze zobaczyć i dlatego ci napisałam, że przyjdę. A przecież umyślnie na spotkanie wybrałam to miejsce, gdzie nas o tej porze nikt nie zobaczy i nie podsłucha. Nie zapominaj że jestem twoją matką i że los twój mnie żywo obchodzi.

-- Ale skądże się dowiedziałaś o tem, że jestem teraz w Schleinitz? Skąd wiesz, że ja teraz jestem hrabią Pardua?

— Huhle mi to powiedział.

— Huhle?

— Ten Huhle, którego znać musisz, bo nieraz robił interesa z twym ojcem.

— A skądże on mógł o tem wiedzieć?

— Hoho! On zna wszystko, całą twoją historyę. Wie, że zamordowałeś hrabiego Pardue, że zabrałeś mu papiery i teraz sam jesteś hrabią.

— Psst! Ani słowa więcej! Matko, Huhle musi zginąć! Ten nędznik za byle pieniądze gotów mnie zdradzić, gotów o tem powiedzieć Steinowi, a wtedy czeka mnie ten sam los, jaki dosięgnął mego ojca!

— Stary Wilding umiał się wywinąć, a jednak ten pies go złapał. Ale ty się pomściłeś za ojca, bo tego psa sam wodzisz za nos.

— Huhle musi zginąć, powtarzam — ozwał się znowu Robert. — Nie może żyć człowiek, który zna moją tajemnicę. Czy wiesz, gdzie on się teraz podziewa?

— Leży u mnie, chory. Pogruchotano mu kiedyś kości, gdy chciał okraść bank. Ale się wymknął, a ja go ukryłam tak, że nawet ten szpicel Stein go nie dostanie.

— Więc leży u ciebie w domu?

— Tak jest.

— On musi zginąć!

— Ano, jak sądzisz, że musi, to dobrze. Ale jak go usunąć ze świata?

— Masz tu tę flaszeczkę. Jest w niej trucizna, zabijająca człowieka w ciągu kilku sekund. Nalej mu jej do wody, a będzie gotów Potem wrzuć go do kanału. Jak się spiszesz, dostaniesz tysiąc marek.

— Jutro już Huhle żyć nie będzie — odparła stara. — Ale jeszcze jedno. Czy nie mógłbyś mi dać co pieniędzy teraz?

— Niemam nic. Przygotuję je, jak się dowiem, że Huhle nie żyje

— No, dobrze. Uściśnij mnie jeszcze, synu. Przecież nie brzydzisz się twojej matki, która dla ciebie wszystko zrobi!

Robert uścisnął starą, ucałował ją w twarz i rzekł chłodno:

— A teraz uciekajcie stąd, matko, jak najprędzej i uważajcie, by was kto nie spostrzegł. Nikt nie śmie wiedzieć, że jestem twym synem, że nazywam się Wilding. Jestem i pozostanę hrabią Pardua!

— A cóż z tą turkaweczką, którą za żonę pojąłeś?

— To już mniejsza rzecz. Za kilka dni o tem pomówimy.

— Niechże będzie.

I stara uściskała Roberta, poczem szybko, o ile jej na to wiek podeszły pozwalał, znikła w gąszczu drzew, wreszcie chyłkiem dostała się na drogę i jak wiatrem pędzona pobiegła, ku stacyi kolejowej, bo właśnie za kilka kwadransów miał odejść pociąg do miasta.

Robert zamyślony zawrócił powoli przez park ku zamkowi.

Lokaj, który całą ich rozmowę słyszał najdokładniej słowo w słowo, aż ręce zatarł z radości. Udało mu się znakomicie z własnych ust Roberta usłyszeć wyznanie, iż nie jest on nikim innym, jeno Robertem Wildingem, synem starej wiedźmy ze strasznego młyna, który, zabiwszy, jak sądził, hrabiego Pardue, przywłaszczył sobie wszystkie jego papiery i tytuły.

Miał powód do uciechy, bo udało mu się zgłębić tajemnicę Roberta, poruczonego przez Steina jego opiece. Bo też lokajem tym był nikt inny, jeno Paulsen, tajny detektyw policyi, przyjaciel Steina.

Chodziło teraz o zdecydowanie się, co zrobić. Wiedział już tyle, iż wystarczało to, aby Roberta wtrącić do więzienia. Zaczął więc rozważać, czy ma zdać o tem dokładny raport Steinowi, czy też sam udać się do niego i odrazu zarządzić aresztowanie Roberta.

Po chwili namysłu przyszedł do przekonania, że więcej chyba dowiedzieć się nie zdoła, bo Robert był zawsze nadzwyczaj ostrożny. Postanowił więc nie zwlekać i odrazu puścił się w drogę ku stacyi.

Doszedł właśnie w samą porę, bo zdążył jeszcze razem z Wildingową wsiąść do pociągu. Za kilka godzin był już w mieście.

Wysiadł znowu razem z Wildingową. Ale nie opuścił jej już ani na chwilę, kiedy bowiem znaleźli się na ulicy, szedł za nią i zdawał się o czemś myśleć na seryo. Wreszcie, ujrzawszy policyanta, powziął stanowczy zamiar, zbliżył się do niego i pokazawszy mu swoją legitymacyę, kazał mu aresztować Wildingową.

Stara jędza opierała się jak mogła, ale policyant zawezwał świstawką towarzysza z przyległej ulicy i obydwa bez trudu doprowadzili ją do dyrekcyi policyi, dokąd Paulsen już przedtem doszedł. Po krótkiem przesłuchaniu odesłano Wildingową wprost do więzienia karnego, gdzie miała pozostać przez czas śledztwa, aż do rozprawy sądowej.

Paulsen po wyjściu z dyrekcyi policyi skierował swe kroki ku mieszkaniu komisarza Steina. Ponieważ jednak było jeszcze za wcześnie, bo dopiero piąta rano na zegarach kościelnych wybiła, wszedł do parku, obok którego prowadziła droga. Jakże się jednak zdziwił, kiedy w bocznej alei zobaczył komisarza Steina, żywo rozmawiającego z jakimś wysokim, pięknym mężczyzną. Zbiżył się ku nim i omal nie krzyknął ze zdziwienia — mężczyzna ten podobny był zupełnie do Roberta Wildinga. Tak go to uderzyło, że nawet z początku nie miał odwagi podejść ku nim. Zaczął więc chrząkać znacząco, pewny, że dosłyszy go czujne ucho Steina.

Tak się też stało. Stein oglądnął się, a widząc przed sobą Paulsena, podbiegł ku niemu, uścisnął mu rękę i rzekł:

— Cóż się stało? Może już masz w ręku dowody?

— Tak jest. To, com dzisiaj słyszał, wystarczy, aby Wildinga zaprowadzić na szubienicę.

— Jakto?

— Podsłuchałem przed kilku godzinami rozmowy rzekomego hrabiego z jego własną matką.

— Winszuję ci szczerze.

— Otóż wiem z ust obojga, że rzekomy hrabia Pardua nazywa się w rzeczywistości Robert Wilding i jest synem tej starej jędzy ze strasznego młyna.

— Tak, jak przypuszczałem.

— Starą kazałem aresztować, bo przyjechałem do miasta razem z nią.

— Bardzo dobrze.

— Ale teraz musimy się śpieszyć, bo Wilding gotów nam znowu czmychnąć z przed nosa. Mam zresztą setki dowodów, słyszanych na własne uszy, tak, że co do niego niemam już najmniejszych wątpliwości. Trzeba ich zamknąć oboje, Wildinga i Ilonę Barrison.

— Więc ta rudowłosa dama to Ilona Barrison?

— Tak jest. Widziałem i mam w ręku papier, przez nią podpisany tem nazwiskiem. A zresztą znam człowieka, który ją widywał setki razy w „Moulin rouge“ w Paryżu i zna ją doskonale. Jest to stangret Marceli, który chwilowo widocznie wziął urlop, bo go niema w zamku.

— Mogę ci tylko szczerze powinszować — rzekł Stein — wywiązałeś się świetnie z zadania. Za trzy dni będziemy ich mieli pod kluczem.

— Dlaczego tak późno?

— Dopóki hrabia Pardua nie nabierze sił, bo dopiero powrócił cudem prawie do zdrowia.

I zwracając się do hrabiego, który stał w pewnej od nich odległości i ze zdumieniem patrzył na rozradowane oblicza ajentów, zawołał:

— Panie hrabio, wszystko skończone, szczęśliwie!

— Na seryo?

— Pan Paulsen, mój kolega — mówił dalej, przedstawiając ajenta — szpiegował Wildinga jako jego lokaj przez kilka tygodni i zebrał tyle dowodów jego winy, że możemy ptaszka zamknąć odrazu.

— Dziękuję panu — rzekł hrabia. — Ale musimy się spieszyć, bo Bóg wie, co ten szatan zrobić może przez ten czas z Erną.

— Zarządzimy wszystko, co będzie potrzeba, a jutro wieczór udamy się do zamku Schleinitz, aby fałszywego hrabiego aresztować — rzekł Stein.

— Więc pan hrabia przyszedł już zupełnie do zdrowia? — spytał Paulsen.

— Dzięki opiece pana Steina, który mnie od dał w ręce najlepszych lekarzy, odzyskałem nawet straconą dawniej pamięć.

— No, więc tembardziej. Lepszych dowodów jego winy nie potrzeba. Pan hrabia będzie klasycznym świadkiem w procesie.

Rozmawiali jeszcze długą chwilę, poczem zawiadomili o wszystkiem doktora Stürmera, żywo się tą całą sprawą zajmującego i uradzili nazajutrz wieczorem udać się w czwórkę razem z żandarmami do zamku Schleinitz.

ROZDZIAŁ XXXVII.

Z żebraczki milionerką.

Małgorzata Wilding długo leżała pogrążona w myślach, nie wiedząc, co mogło spowodować takie nagłe odejście kapitanowej. Minęła godzina, potem druga, a kapitanowa nie wracała. Biedna Małgorzata, znużona i wycieńczona słabością, zmrużyła oczy i zaczęła się modlić. Nie ruszała nawet wargami, ale serce jej szeptało serdeczną modlitwę, dziękczynną i błagalną modlitwę, na jaką tylko jej biedne, a czyste serce zdobyć się mogło. I w tej modlitwie, która dla duszy jej, cierpieniem pooranej, była balsamem, zasnęła.

Kapitanowa tymczasem, wyczytawszy w gazecie, że Paweł Winkelman, inżynier z Ameryki, poszukuje Małgorzaty Wilding, dla której ma ważne polecenie finansowej natury od jej stryja, pobiegła odrazu według wskazanego w gazecie adresu.

Paweł Winkelman mieszkał w hotelu „Pod różą“. Była godzina punkt dziesiąta, kiedy do jego pokoju zapukała kapitanowa.

Inżynier siedział przy stole zamyślony i nie usłyszał nawet pukania. Z zamyślenia zbudził go dopiero trzask klamki. Oglądnął się, zdziwiony widokiem nieznanej sobie kobiety, ale ta odrazu w krótkich słowach wyjaśniła mu cel swego przybycia.

Jakby się niebo przed nim otworzyło. Zerwał się i przez dłuższą chwilę nie mógł wcale przyjść do siebie ze wzruszenia. Bo po zakupieniu obrazu Simerenki, przekonany był, iż Małgorzata nie umarła, ale że ją pochowano w letargu, a potem wykradziono na modela do „Bogini śmierci“. Ogłosił więc w dziennikach, że zapłaci sowicie temu, kto mu doniesie cokolwiek o Małgorzacie, lub bodaj o jej dziecku. Nie przypuszczał jednakże, żeby tak szybko nadeszła odpowiedź i to tak dla niego pomyślna. Bo bądź co bądź przez odnalezienie Małgorzaty pozbyć się miał ciężaru, jaki nań włożył jej stryj w ostatniej życia godzinie, a nadto cieszył się w duszy nadzieją, że Małgorzata, której obraz przez tyle lat nosił w duszy, nie znając jej jeszcze wcale, odwzajemni mu miłość, jaką ku niej pałał.

— Więc cóż pan zrobi? — przerwała mu myśli kapitanowa.

— Co zrobię? — odparł pośpiesznie. — Pójdę z panią natychmiast, bo muszę ją zobaczyć, muszę. Jak ja się pani wywdzięczę, droga pani?!

Kiedy weszli do pokoju kapitanowej, Małgorzata spała. Ręce długie, białe, prawie przeźroczyste ręce złożyła na piersiach, jak do modlitwy, że wyglądała niby anioł smutku zemdlony.

— Nie przerywajmy jej — niech śpi — ozwała się kapitanowa, widząc, że Winkelman, poznawszy ją odrazu, rzucił się ku łóżku i chciał zacząć całować jej ręce. — Biedactwo tyle się wycierpiało, wycieńczona jest tak dalece, że się w niej ledwie duch poniewiera. Ja nawet sama teraz nie wiem, czy to dobrze że ja pana zawołałam. Takie ogromne, wstrząsające wrażenie, może ją przecie znowu w letarg wprowadzić.

— Nie, nie! — szepnął Winkelman, klęcząc przy łóżku. — Nie będziemy jej budzić. Ja będę czuwał nad nią, choćby nie wiem jak długo, dopóki się nie obudzi.

I patrząc na twarz śpiącej, białą, poprzecinaną jeno sinemi prążkami żył, silny ten mężczyzna rozpłakał się, jak dziecko. I łkał, z żalu nad nieszczęściami, jakie biedna Małgorzata przejść musiała i z radości, że on właśnie ma być tym, który jej szczęście przyniesie i raj na ziemi otworzy. Łkał, bo wzruszeniu nie mógł się oprzeć, i nie mógł się oprzeć słodkiej nadziei nazwania kiedyś Małgorzaty swą żoną.

Kapitanowa odeszła do swojej sypialni, Winkelmann został przy Małgorzacie.

Dzień już wzeszedł dawno, słońce wypłynęło na przestwór błękitny, zlewając istne strumienie złotych promieni na ziemię, a Małgorzata ciągle spała.

Kapitanowa przyprowadziła małego Fredzia i kazała mu uklęknąć przy łóżku matki. Chłopczyna jednak, zoczywszy obcego, stanął zadąsany naprzeciw i wpatrzył się weń zdziwiony i jakby gniewny. Spostrzegł go Winkelmann, podszedł ku niemu i wzruszony zaczął go gładzić po czuprynie, mówiąc:

— Malutki ty mój, ja ci teraz ojca zastąpię, nie będziesz już więcej miał biedy, ni niedostatku, ja ci sam ojcem będę. Ale mnie będziesz kochał. Fredziu? co?

Malec z początku nic nie odpowiadał, ale widząc dobre i łagodne oblicze Winkelmana, odparł po chwili:

— Pan chce być moim tatusiem?

— Tak dziecino. Chciałbym i będę ci ojcem.

— Ślicznie. To my pójdziemy do ogrodu i ja pana zaraz pokażę Jankowi i powiem mu, że i ja mam tatusia, ładniejszego jak jego tatuś! I teraz to ja się z niego wyśmieję. Ale tata pójdzie zaraz ze mną do ogrodu.

— Pójdę, dziecinko, pójdę. Dla ciebie pójdę wszędzie.

— No, to chodźmy do ogrodu.

— Zaczekaj tylko chwilkę, aż mama się obudzi.

Posłuszny stanął przy łóżku i zaczął się zdziwionemi oczyma wpatrywać w śpiącą. Wreszcie, jakby nie mogąc już wytrzymać, podszedł bliżej i głaszcząc Małgorzatę po twarzy, mówił błagalnie:

— Mamo! A zbudźże się. Tata już jest! Ja już mam tatusia!

Łzy zakręciły się w oczach Winkelmannowi. Małgorzata zbudzona otworzyła oczy szeroko i ze zdumieniem ujrzała tuż przy łóżku obcego jakiegoś mężczyznę. Chciała się spytać, kto to jest, ale sił jej nie starczyło.

Wtedy Winkelmann, nachylając się ku niej i wziąwszy ją za rękę, szepnął:

— To ja, Winkelmann, przynoszę pani spadek po stryju.

Biedna Małgorzata opadła na poduszki i zemdlała.

Wzruszenie to było zbyt silne na jej słabe siły.

ROZDZIAŁ XXXVIII.

Zakończenie.

Hrabia Robert, Stein i dr Stürmer, który przez chwilę pozostał był na dziedzińcu zamkowym na straży, aby kto nie uciekł, zaczęli wraz z żandarmem ścisłą rewizyę zamku. Wiedzieli, że hrabiny Erny nie było, trzeba ją więc było koniecznie znaleźć.

W buduarze Ilony nie znaleźli nic oprócz kilku flaszeczek rozmaitych silnych trucizn i narkotyków. Natomiast dreszcz przeszedł po wszystkich, kiedy w maleńkim pokoiku, przytykającym do buduaru, znaleźli skrzynię, a w niej zamknięte zwłoki Marcelego. Trup był nigdzie nie naruszony, nie można więc było poznać odrazu, w jaki sposób stangret został zgładzony ze świata. Dopiero po bliższej obserwacyi Stein znalazł, że w ustach stangreta tkwiła jeszcze chusteczka batystowa, napojona karbolem.

— Więc jeszcze jedna ofiara tej szatańskiej pary!... — krzyknął Stein. — No, szubienica dla takiego zbrodniarza za małą jest karą!

Przeszukali skrzętnie cały zamek, ale nigdzie nie znaleźli ani śladu Erny. Służba nie wiedziała również, gdzie się „ta waryatka“ (jak zwykle o niej się wyrażała), Ilona, podziała.

Najenergiczniej szukał wszędzie dr Stürmer. Nie było kąta, gdzieby był nie wściubił swego nosa, węsząc, jak pies za zdobyczą.

Ale gdy wszyscy już stracili nadzieję znalezienia Erny, on jeden jeszcze nie dał za wygraną. Poszedł do parku i idąc powoli doszedł do ruin pustelni. Zdziwiła go ta rudera, szedł więc do wnętrza. Chodził chwilę po wielkim refektarzu, aż naraz zobaczył w jednej ścianie wielkie dębowe, przebijane żelazem drzwi. Co ciekawsze, że w zamku tkwił jeszcze klucz, odemknął więc i wszedł do wnętrza.

Cofnął się aż wstecz, gdy zobaczył, co tam było we wnętrzu. Na tapczanie ze zgniłej słomy leżała Erna.

Jakby piorunem rażony rzucił się ku niej, ukląkł i zaczął jej ręce obsypywać pocałunkami. Toż to była cała jego nadzieja i miłość. Nie zauważył nawet, że ręce te były już zimne. Po chwili dopiero, gdy oprzytomniał z pierwszego wrażenia, wzdrygnął się. Żyłka lekarska wzięła górę.

Pochylił się ku niej, rozpiął jej stanik, przyłożył ucho do piersi i zaczął słuchać. Nasłuchiwał długo, ale wreszcie twarz mu się rozjaśniła. Serce biło jeszcze. Cichutko, jak szelest skrzydeł motylich, drżało to serce, które w zaraniu życia tyle bólu już przeżarło.

W tej chwili wyjął z kieszeni flaszeczkę koniaku i wlał Ernie odrobinę do ust. Połknęła. Wlał jeszcze drugi łyk — i biedaczka wstrząsnęła się, poczem powoli, z trudem, otworzyła oczy.

Zamknęła je w tej chwili, jednakże na twarzy jej rozlał się anielski uśmiech.

Poznała, że nad nią klęczał doktor Stürmer, jedyny człowiek, którego na świecie całą potęgą duszy kochała.

Lekarz, uradowany, że przynajmniej jego najdroższa na świecie istota, została wyrwaną pra-



...Cofnął się aż wstecz, gdy zobaczył, co tam było we wnętrzu. Na tapczanie ze zgniłej słomy leżała Erna.

Jakby piorunem rażony rzucił się ku niej, ukląkł i zaczął jej ręce obsypywać pocałunkami. Toż to była cała jego nadzieja i miłość. Nie zauważył nawet, że ręce te były już zimne..

wie z rąk śmierci, wziął ją jak dziecko na ręce i wyniósł z celi na świeże powietrze.

To oddziałało na chorą dodatnio. Pierś jej zaczęła się silniej podnosić, serce biło mocniej, życie wracało w tę wiotką postać.

* * *

Cóż nam zostaje do dopowiedzenia?

Robert Wilding, zabrany do więzienia, przez dłuższy czas wypierał się winy, obstając stanowczo przy tem, że to on właśnie jest hrabią Pardua i że padł ofiarą jakiegoś zręcznego rzezimieszka. Jednak, kiedy go skonfrontowano z matką a potem z Małgorzatą Wilding i obie poznały go jako Roberta Wildinga, kiedy wreszcie przedstawiono mu arcybogaty materyał dowodowy jego winy, zebrany przez komisarza Steina, zmiękł i przyznał się do wszystkiego.

Rozprawa przeciw niemu była sensacyą dla całego miasta. Toczyła się przez trzy dni przy zapełnionej publicznością sali. Największe wrażenie wzbudziła chwila, kiedy jako świadek przeciw niemu stanęła Erna, jeszcze blada i chora po przebytych cierpieniach, gdyż jedynie dzięki nadzwyczajnej opiece doktora Stürmera i jego matki zdołała uzyskać zdrowie. Łzy się do ócz cisnęły każdemu, kiedy opowiadała o swoich cierpieniach, nawet Robert Wilding spuścił oczy w dół i milczał. Widocznie go to bolało, ale już zapóźno.

Zgodnym werdyktem ławy przysięgłych uznano małżeństwo Roberta Wildinga z Erną za nieważne, zaś za oszustwo, bigamię, zbrodniczy zamach na hrabiego Pardunę, zabicie siostry Erny i katowanie Erny, skazano go na śmierć przez powieszenie. Egzekucya odbyła się w kilka tygodni później. Matkę jego skazano na dożywotnie więzienie.

* * *

W kilka miesięcy potem w katedrze w stolicy odbyły się dwa śluby.

Pobrali się równocześnie Paweł Winkelmann z Małgorzatą i doktor Stürmer z Erną. Cały kościół gorzał od świateł, w nawach tłoczyła się publiczność, pragnąca choć w ten sposób okazać swą sympatyę dla obojga par młodych.

Hrabia Pardua, wiedząc, że Erna go nie kocha, bo sama mu powiedziała o tem, że serce jej do innego należy, wyjechał wkrótce za granicę i oddał się cały administracyi swoich majątków we Francyi.

* * *

Na ślubie Erny znalazł się w kościele wśród tłumu ciekawej publiczności także i Stein.

Człowiek ten wśród gości weselnych odznaczał się usposobieniem nie licującem bynajmniej z uroczystością zaślubin dwóch par państwa młodych.

W zamyśleniu poważnem spoglądał na Ernę. W tej chwili przyszło bowiem mu je na myśl, że przez sprawę tej kobiety mógł był zginąć marnie w okropnej zasadzce.

Wspomnienie owej chwili, w której walczył ze śmiercią w zwątpieniu w możliwość ocalenia, nie chciało go opuścić odtąd nawet po wyjściu z kościoła. I uporczywie prześladowała go myśl o szlachetnej duszy, której zawdzięczał życie....

Wszak gdyby nie córka wiedźmy ze strasznego młyna, od dawna Stein nie liczyłby się był do żyjących.

Uczucie wdzięczności dla zbawczyni zawiodło go tedy zaraz nazajutrz do strasznego młyna. Stein postanowił odnaleźć dobrego ducha tego zaklętego ustronia. Pragnął ujrzeć tę piękną kobietę o bujnych włosach czarnych, uścisnąć jej ręce i wywieść ją z młyna zbrodni.....

— Nie sposób, by miała mnie odtrącić, jeżeli jej zaproponuję małżeństwo.... A w ten sposób związawszy jej losy ze swojemi i uczyniwszy ją dozgonną swą towarzyszką, najlepiej spłacę dług wdzięczności.....

Ale Stein daremnie poszukiwał córki wiedźmy. Nie odnalazł jej nigdzie w labiryncie strasznego młyna.

Tylko po dziś dzień pozostała tam po niej legenda, jako o dobrym o duchu owego zaklętego ustronia.

KONIEC.

Katastrofa na morzu.

I znów nadeszła wieść straszliwa o nowej katastrofie, która wydarzyła się na morzu, niedaleko skalistych brzegów Hiszpanii, gdzie zatonął okręt emigracyjny, wiozący tysiące wychodźców z Barcelony do Buenos Ayres. Trzystu ludzi straciło życie, a wielkość tego nieszczęścia wzbudziła współczucie całej Europy, uginającej się i tak pod brzemieniem coraz częstszych katastrof, pochłaniających setki istnień ludzkich. Zdawałoby się, że jakieś krwawe fatum zawisło nad światem. W podziemiach Courrières zadusiły gazy, przywaliły walące się sklepienia i rusztowania przeszło tysiąc górników. Jeszcze nie ochłonął nikt po tak strasznej wieści, gdy zatokę błękitną Neapolu przykryły ciemne chmury dymu, krwawiące się odblaskami wybuchającego wulkanu, a lawa zniszczyła cały niemal golf, grzebiąc znów dziesiątki trupów, setki straconych bezpowrotnie mień..

Zaledwie ucichły krzyki zrozpaczonych, a już nowa katastrofa budziła przestrach i grozę. Runęło San Francisco, i to, co ocaliła roztwierająca się ziemia, zabrały płomienie.

Telegramy roznosiły bez przerwy wieści coraz posępniejsze. Litość i współczucie tępiały pod naporem nieszczęść, przyjmowanych w końcu z tą obojętnością, jaką wyradza coś, co powtarza się codziennie.

Zatopienie okrętu emigracyjnego „Sirio“ należy jednak do innej kategoryi katastrof. Okręt poszedł na dno przy południowo-wschodnich wybrzeżach Hiszpanii, niedaleko „Cap de Palos“, tak blisko lądu, że wystarczyło rzucić liny ratunkowe, aby zmniejszyć przynajmniej o połowę rozmiary wypadku. Morze było również spokojne Dzień jasny oświecało słońce. W pobliżu krążyły właśnie niedaleko parowce niemieckie i francuskie, które dały też pierwszą pomoc tonącym. Było ich jednak tylu, że mimo wysiłków łodzi ratunkowych, zginęło — trzystu ludzi!

Kiedy okręt najechał na podwodną rafę i woda wdarła się do wnętrza, na pokładzie poczęły rozgrywać się sceny, godne czeluści piekielnych. Nożami i siekierami torowano sobie drogę do łodzi; miażdżono ciała kobiet i dzieci rozszarpywano w kawałki tych, którzy wydobyli się już z tłoku, pracując nad spuszczeniem nowych szalup. Rej wiedli robotnicy włoscy. Prześcigali się wzajemnie w brutalizmie samozachowawczego instynktu, brocząc we krwi niewinnych ofiar.

W takiej to chwili opadają osłony kultury i cywilizacyi, a przejawia się zwierzę, czające się zarówno pod połą fraka, czy bluzy robotniczej. *Homo homini lupus*. Tak było zawsze i wszędzie. Obok tych scen przejmujących swą grozą, naoczni świadkowie opowiadają o czynach miłości ludzkiej i serca, które w „herbarzu szlachetnych“ umieścić się godzi. Oto matki, którym dzieci poginęły, szły same na śmierć, niechcąc przeżyć rozłąki, oto biskup z San Pedro błogosławił tonących i polecał strwożone ich dusze Bogu, wytrwawszy do ostatniej chwili na posterunku, póki fala nie strąciła go razem z innymi do morza.



Fot. W. Lis.

Tydzień opery lwowskiej w Krakowie: Baletmistrz J. Solnicki, artysta operetki teatru miejskiego we Lwowie.

Rozpatrując szczegóły tej katastrofy, powraca mimowoli ciągle pod pióro pytanie, co było właściwą jej przyczyną? — Wszystkie dane przemawiają niestety za tem, że podały tu sobie ręce nieuczciwość ludzka, wyzysk i lekceważenie życia najbiedniejszych z biednych, których za 190 lirów przewożono jak bydło z Genuy do Brazylii. Telegramy donoszą, że zawinił kapitan, kierując okręt na krótszą, lecz niebezpieczną drogę wodną, celem zaoszczędzenia czasu i kosztów przewozu; zawiniła także załoga, z której niemal wszyscy uratowali swe życia, nie troszcząc się o losy pasażerów. Najbrutalniejszymi w zdobywaniu miejsca na łodziach byli właśnie podoficerowie, przeciw którym toczy się już śledztwo, celem wykrycia winnych. Mówiono początkowo, że kapitan zastrzelił się na pokładzie tonącego okrętu. Wieść ta okazała się jednak nieprawdziwą Kapitan ocalał, a ocalenie to, staje się najcięższym dowodem jego winy. Okazało się również, że "Sirio“ pełnił swą służbę od 23 lat, a zmurszały spód i przestarzała konstrukcya statku ułatwiły znacznie katastrofę. — Wychodzą więc na jaw szczegóły, rzucające smutne światło na stosunki włoskich Towarzystw emigracyjnych, a nieszczęście to, które pozbawiło życia 300 ludzi, skłoni niewątpliwie rządy wszystkich państw, do wydania najsurowszych przepisów, kontrolujących zarówno statki emigracyjne, jak ich załogi i warunki przewozu

* * *

Dzienniki zagraniczne przynoszą niektóre szczegóły z zatonięcia emigranckiego okrętu „Sirio“. Sceny, jakie się przy tej katastrofie odgrywały, przypominają straszne opisy Edgara Allana Poego.

Podczas katastrofy powietrze było zupełnie jasne, a grupę skał podwodnych minął okręt jeszcze za dnia. Dopiero o godzinie 6 popołudniu natknął się na niewidzialną pod falami skałę. Ponieważ parowiec jechał pełną siłą pary, więc uderzenie było tak gwałtowne, że cała przednia część statku została zdruzgotaną, a woda szybko wdarła się do wnętrza. Pod jej ciśnieniem pękła przednia część statku, a tył poszedł pod wodę. Łagodny wieczór wywabił prawie wszystkich podróżnych na pokład, a ponieważ katastrofa zdarzyła się prawie tuż przy brzegu, więc można było szybko pospieszyć z pomocą. Mimo to przebieg nieszczęścia był tak nagły, że zginęło mnóstwo osób.

Zaraz po uderzeniu w skałę, powstał na po-



Fot. dla „Nowości Illustr.“ aparatem redakcyjnym W. Lis.

Orkiestra opery lwowskiej: Grupa członków orkiestry operowej teatru miejskiego we Lwowie, zdjęta przed gmachem teatralnym w Krakowie w czasie próby przedpołudniowej; pośrodku obaj dyrektorowie: p. Rukawina, kapelmistrz opery i prof. Słomkowski, kapelmistrz operetki.

kładzie straszliwy popłoch. Robotnicy włoscy oszaleli poprostu i torowali sobie drogę do łodzi ratunkowych nożami i siekierami. Jak twierdzi „Daily Telegraph“, kapitan i marynarze okrętu zachowywali się wobec podróżnych w sposób bezwstydny, myśląc tylko o własnym ratunku.

Walka o łodzie ratunkowe trwała nieprzerwanie. Używano siekier, nożów i rewolwerów. Zginęła znaczna liczba osób, zwłaszcza kobiet. Poległo też kilku marynarzy, którzy trzymali się dzielnie i chcieli pośród uciekających zaprowadzić ład. Pomiędzy uratowanymi jest wielu rannych. Podróżni ogarnięci popłochem, rządzili na okręcie i sami spuszczali łodzie, z których kilka przewróciło się, albo skutkiem przepełnienia zatonęło. Pewna grupa wychodźców napadła na inną grupę, która siedziała już w łodzi. Napastnicy zdołali wedrzeć się do łodzi, zabiwszy kilka osób, które już w niej siedziały i wyrzuciwszy zwłoki do morza. Rybacy, którzy pospieszyli z pomocą, wyratowali znaczną liczbę osób, ale skutkiem szybkiego przebiegu katastrofy, musieli rychło cofnąć się.

Dla wyratowanych urządzono na brzegu obóz, a namioty sprowadzono z pobliskiej Cartageny. Kilkanaście osób zmarło już na lądzie skutkiem ran, otrzymanych w walce o łodzie ratunkowe. Konsul austryacki z Rio de Janeiro, który został uratowany, stracił 15.000 reńskich w banknotach; wogóle wszyscy stracili całe swoje mienie. Korespondent „Telegraphu“ twierdzi, że można było uratować wszystkich podróżnych, gdyby oficerowie i marynarze okrętu byli zachowali spokój i karność.

Tydzień opery lwowskiej w Krakowie.

„Faustem“ z p. Colignon-Szymańską w partyi Małgorzaty zakończono szósty tydzień opery lwowskiej w Krakowie, tydzień, który zarówno bywalcom opery, jak i zwolennikom lżejszej muzyki



Tydzień opery lwowskiej w Krakowie: Filomena Łopatyńska, znakomita śpiewaczka operowa.

przyniósł wiele artystycznych wrażeń. Bohaterką wieczoru, w którym dawano „Fausta“, była p. Collignon-Szymańska, artystka, która dzięki swoim wybitnym talentom i rzetelnym zdolnościom, stanęła w pierwszym szeregu kadrów operowych i do tego na prawem skrzydle. Na zaszczytnem tem stanowisku utrzymuje ją zarówno piękny, ogromnie sympatyczny głos, w którym grają wszystkie fibry jej nawskroś muzykalnej indywidualności — zarówno rozróżniająca piękno muzyczne i odczuć je umiejąca dusza, jak nie mniej rzadka w tym stopniu u śpiewaczek zdolność aktorska, a także postawa pełna wdzięku, gracyi i powabów niewieścich. Partyą Małgorzaty wywarła wielkie wrażenie, szczególnie prześlicznie odśpiewanym aktem II. i sceną w kościele, czego dowodem wielkie zainteresowanie się publiczności i rzetelne pochwały, jakich jej nie szczędziła prasa.

Oprócz „Fausta“ słyszeliśmy w tym tygodniu wspaniałe dzieło Saint-Saënsa „Samson i Dalilla“, w którem partye tytułowe, kreowali z powodzeniem p. Oleska tudzież p. Muszyński. Uzupełnieniem artystycznych wrażeń było ze wszechmiar udatne przedstawienie „Cyganeryi“, w którem w partyi Mimi wystąpiła wyborna p. Mokrzycka, a jako Musetta znakomita p. Miłowska. Obie artystki wywiązały się z trudnych zadań, jakie na nie wkłada partytura ku ogólnemu zadowoleniu. Wesołą czwórkę stanowili pp. Orzelski, Ludwig, Mossoczy i Zaremba, artyści znani publiczności z jaknajlepszej strony.

Operetka, która, na ogół biorąc, więcej liczy w Krakowie zwolenników niż opera, dała nam poznać nową gwiazdkę w nadobnej osóbce pięknej p. Jaroszówny, przyszłej diwy operetkowej. Sympatyczna artystka ta wystąpiła w „Gejszy“ jako Mimoza i od razu podbiła serca krakowskich operetko-



Fot. dla „Nowości Illustr.“ apar. red. W. Lis.

Tydzień opery lwowskiej w Krakowie: Przed próbą: u wejścia za kulisy teatru krakowskiego, grupa artystów opery i operetki ze Lwowa; reżyser Bogucki z zegarkiem w ręce przypomina, że zaczyna się próba; pośrodku stoi primadonna Miłowska między J. Kratochwilem a kapelmistrzem Słomkowskim; obok tego sekretarz osobisty dyrektora, p. Podhorski; między artystami jedyny z brodą wśród twarzy golonych, popularny woźny teatralny Pichor, który wszystkich codzień zamawia na próby.

wiczów. I nic dziwnego. Piękne to dziewczę posiada poza miluchnym głosem — ogromnie podatnym do kreślenia zgrabnych i lotnych konturów lekkiej muzyki — tyle powabów i wdzięków, iż w partyi Mimozy, która właśnie tych przymiotów od artystki wymaga, była nie tylko dobrą, lecz doskonałą. P. Jaroszówna ma jeszcze jeden przymiot, który w gronie koleżanek stawia ją bardzo wysoko, a jest nim swoboda na scenie, ujmująca prostota i brak wszelkiej pozy. P. Heller miał prawdziwie szczęśliwą rękę w pozyskaniu dla swego towarzystwa tej dzielnej siły, której wybitną wartość można było ocenić, choćby w tym jednym występie. Dla informacyi dodać należy, że p. Jaroszówna, która karyerę sceniczną rozpoczęła w drobnych rólkach na scenie skarbkowskiej — wróciła na nią po przebyciu praktyki w teatrze poznańskim, następnie na scenie operetkowej Myszkowskiego i wreszcie w teatrach warszawskich, gdzie pełną wdzięku artystkę oklaskiwano gorąco w takich partyach jak Saphi (Baron Cygański) Gejsza, Halka, Fianetta i td.

Z pośród śpiewaczek stanowiących podporę i ozdobę operetki lwowskiej, p. Łopatyńska zasługuje na wyjątkową uwagę, ze względu na swoje niepospolite zdolności wokalne i gorący zapał dla sztuki. Dlaczego ta wybitna, sumienna i wybornym materyałem głosowym jak nie mniej rutyną sceniczną rozporządzająca artystka, znalazła się pośród drużyny operetkowej, to już pozostanie nierozwiązaną zagadką poprzedniej dyrekcyi, która używała artystki tej zarówno w operze jak w operetce. To fakt jednak, że do krainy lekkiej muzy, do której dostała się przypadkowo, wnosi p. Łopatyańka pewien poważny ton artystycznego wykwintu, utrzymując go stale wytworną grą, a przedewszystkiem pięknym, zdrowym i wdzięcznym głosem, którym włada z swobodą i miarą. P. Łopatyńska dzięki tym przymiotom, tudzież dzięki ujmującej powierzchowności, jest jedną z tych ulubienic krakowskiej publiczności, o których mówi się nie tylko z sympatyą, lecz należnem poważaniem, a której pięknego śpiewu słucha się zawsze z prawdziwą przyjemnością i podziwem.

Brzydsza czyli męska połowa operetki spisywała się równie dzielnie. W „Dziewczynie z fiołkami“ w partyi hrabiego zwrócił uwagę, obecnie rzadko występujący z powodu swych obowiązków sekretarskich. przy dyr. Hellerze, p. Podhorski. Artysta równie pomysłowy jak dowcipny uchwycił wybornie zarówno w charakteryzacyi, jak i w ruchach sylwetę jednego ze znanych donżuanów krakowskich i ubawił nią słuchaczy. Do rzadkich zjawisk na deskach operetkowych należy równie p. Kocourek-Kotowski. Sympatyczny pobratymiec — Czech pracuje na scenie od lat sześciu w charakterze „leadera“ tenorów lwowskiej opery. Pełen szczerego, pogodnego humoru, stwarza kiedy niekiedy niezmiernie komiczne w charakterze, a zabawne w treści postacie operetkowe. Do takich należy przedewszystkiem figura Ratza, kaprala kobieciarza w nader wesołej operetce „Posłaniec Nr. 6666“. P. Kotowski jest ulubieńcem publiczności, którą umie zawsze na swój sposób ująć grą błyskotliwą, acz bez szarży i swym tenorem o miłym dźwięku. W „Posłańcu“ podtrzymywanym przez p. Miłowską, z p. Kotowskim wystąpił nadto obiecujący komik p. Krzewiński.



Tydzień opery lwowskiej w Krakowie: Jadwiga Jaroszówna, świeżo pozyskana przez dyr. Hellera artystka operetki.

Do ulubieńców publiczności operetkowej należy p. Solnicki, artysta operetkowy, niewielu chyba równych sobie liczący — a od natury aż nadto hojnie w przymioty do tego nieodzowne uposażony. P. Solnicki oprócz iście bajecznej werwy, posiada wcale piękny głos, ruchliwość i wielką znajomość warunków scenicznych. Z zawodu baletmistrz i to jeden z najwybitniejszych, rusza się elastycznie i swobodnie. W partyi n. p. Bunhaja z „Gejszy“ jest na swój sposób komiczny, a w poruszaniu się i lekkości wprost niedościgniony, to też dalsza piękna karyera sceniczna stoi przed nim otworem. — *urs.* —

Sprawa Jekelfalussy.

Jak gdyby dla ożywienia martwego sezonu, wytoczono przed forum opinii publicznej na Węgrzech sprawę, która — jak się pokazuje — wcale nie zasługuje na taki rozgłos.

Na ostatnem posiedzeniu Sejmu węgierskiego wniósł poseł partyi chłopskiej, Andrzej Achin, nagłą interpelacyę do ministra sprawiedliwości, w której wskazując na to, że wedle doniesienia pism, minister honwedów, generał broni Jekelfalussy, dopuścił się jaskrawego nadużycia władzy, a mianowicie ograniczenia wolności osobistej — żąda poczynienia kroków wskazanych ustawą.



Fot. J. Mieczkowski, Warszawa.

„Zrzeszenie nauczycieli“ w Warszawie: Grupa pierwszych maturzystów polskiej szkoły „Zrzeszenia nauczycieli“ w Warszawie, z dyrektorem szkoły prof. Zdzisławem Majewskim w środku

Wedle pism, sprawa poruszona przez p. Achina miała się następująco: Minister honwedów Jekelfalussy miał telefonicznie wydanym żandarmeryi rozkazem spowodować aresztowanie w ciągu jazdy koleją swego byłego oficyalisty, Jerzego Kovácsa, za to, że Kovács pozostał mu winien 166 koron 44 halerzy. Kovácsa po złożeniu owej sumy wypuszczono na wolność.

Generał Jekelfalussy, bawił w czasie posiedzenia, na którem wniesiono interpelacyę po za Budapesztem, nie mógł więc bronić się. Ponieważ na posiedzeniu nie było także ministra spraw wewnętrznych, ani ministra sprawiedliwości, przeto zabrał głos prezydent ministrów dr. Wekerle, owiadczając, że stanowczo nie może dać wiary, aby generał Jekelfalussy dopuścił się podobnego przewinienia, prosi przeto Izbę o cierpliwość, zanim minister honwedów będzie mógł sam głos zabrać.

Na wiadomość o poczynionych mu zarzutach, przybył gen. Jekelfalussy dnia 31 z. m. do Budapesztu, a węgierskie Biuro korespondencyjne upoważnione zostało przezeń do wydania następującego komunikatu:

Jerzy Kovács wstąpił pod fałszywem nazwiskiem do służby w dobrach ministra, co gdy stało się rzeczą wiadomą, służbodawca zawiadomił go, że może jedynie jako służący — nie oficyalista — pozostać dalej w służbie, Kovács zgodził się na to. W tym charakterze wyrządził swemu służbodawcy znaczne szkody, wobec czego generał Jekelfalussy wypowiedział mu służbę z dniem 1 października. Kovács przyjął dopiero za pośrednictwem sądu wypowiedzenie, poczem dnia 22 lipca oświadczył generałowi, że woli usunąć się zaraz. Minister Jekelfalussy przystał na to, wprzód jednak miał mu Kovács zdać inwentarz gospodarczy. Przy oddawaniu okazał się brak wielu rzeczy. Zarządzono dochodzenia, lecz Kovács nie czekając ich wyniku, umknął, uprowadziwszy w noc przed wyjazdem chyłkiem swe sprzęty. Przypadek zrządził, że tym samym pociągiem, którym Kovács uciekał, jechał generał Jekelfalussy do Budapesztu.

Obaczywszy go — opowiada minister — poczyniłem stosowne i prawem uzasadnione kroki, aby zatrzymano mego zbiegłego służącego, który według własnego przyznania, dłużny mi był pewną kwotę i który nie ukończył zdawać nawet inwentarza. Gdy z tej przyczyny Kovácsa zatrzymano w ciągu ucieczki, oświadczył on gotowość, pokrycia dyferencyi rachunku. Zezwoliłem na to, choć przysługiwało mi prawo inaczej postąpić wobec służącego, który zbiegł w podobnych okolicznościach. W rozmowie ze współpracownikiem „A Nap", oświadczył generał Jekelfalussy między innemi: „Nieprzywiązywałem wielkiej wagi do tej sprawy. Bądź co bądź jednak, zanim jeszcze pisma rzuciły się na mnie, zwróciłem się do ministra rolnictwa Daranyiego z pytaniem o jego opi-



Fot. J. Mieczkowski, Warszawa.

„Zrzeszenie nauczycieli" w Warszawie: Wydaleni ze szkół za język polski nauczyciele ludowi w Warszawie wykładający czasowo w szkole „Zrzeszenia nauczycieli": J. Gałązka, prof. Zdzisław Majewski (dyrektor szkoły), A. Filipowicz, A. Światowicz.



Z zamętu rosyjskiego: Scena uliczna z ostatniego strejku powszechnego w Moskwie.

nię. Ten uspokoił mnie, że w postępowaniu mojem niepodobna dopatrzeć się żadnego naruszenia ustawy“.

Oto jak przedstawia się w rzeczywistości „afera Jekelfalussy“, rozogniająca dziś umysły na Węgrzech.

Orkiestra opery lwowskiej.

Każdemu artyście stającemu z tem, co dać pragnie słuchaczom, choćby produkcya jego uczuć i myśli nie przedstawiała szerszego interesu lub większej wartości i była w gruncie rzeczy drobnostką tylko; łatwo osiągnąć uznanie i poklask — bo z talentem swym staje on wobec słuchaczy sam i on tylko jest przez tegoż słuchacza sądzony, tudzież odpowiednio uhonorowany.

Inna sprawa z popisem jakiejkolwiek pracy zbiorowej, w której wszelka indywidualność podporządkować się musi jednej woli — woli kierownika.

Znikają ludzie, znikają artyści, znikają indywidualności, występuje wobec widza olbrzymie ciało, zbiór różnorodnych wartości intellektu muzycznego... zespół, orkiestra.

Ile usiłowań, ile pięknych uczuć, ile chwil prawdziwego rozmodlenia artystycznej duszy, ile najszlachetniejszych aspiracyj tonie w tym zespole bez nagrody i bez oklasku

Czy tonie? Nie. One idą jak czyste modlitwy na jeden wielki, wysoko wznoszący się trójnóg, stojący we wspaniałej świątyni na cześć wielkiej, wzniosłej, świętej... Sztuki.

I zespół każdy zbiera nagrodę z rąk słuchacza, lecz oklaski te idą zarówno na dobro tego artysty, który włożył duszę w oddanie swego ważnego zadania, jak i tego muzykusa, którego uwagę pochłaniało skrupulatne liczenie pauz, aby w monotonnem wypukiwaniu lub wytrąbywaniu oderwanych nut, niezbędnych co prawda w zespole, lecz żadnej zgoła myśli nie przedstawiających.



Fotografował W. Lis.

Tydzień opery lwowskiej w Krakowie: Karol Kocourek-Kotowski, w roli kaprala w operetce „Posłaniec“, którą zdobył sobie sympatyę publiczności.

Godziwą tedy rzeczą, skoro oddajemy pochwały i raczymy słowy uznania solistów — oddać co należy także i wybornej orkiestrze opery lwowskiej, której zbiorowa podobizna ozdabia ten numer naszego pisma.

Orkiestra ta, dzięki szlachetnemu pojmowaniu swych zadań, cieszy się już od dawna uznaniem i sympatyą całego kraju, zarówno dzięki kierownikom stojącym na jej czele, jak i poważnym i wybitnym członkom, z których się składa, a w gronie których zasiada wielu artystów, prawdziwych mistrzów w swym fachu, a z tych kilku znanych zaszczytnie z działalności artystycznej na innych polach — tudzież profesorów lwowskiego konserwatoryum. Dość wymienić takie nazwiska, jak prof. Wolfsthal, Sladek, Dehman, Fugl, Jakl, Spat, Sreberl, Figner, Suchomel a także i wyborny wiolonczelista p. Jaroński. Niepodobna nie wymienić wybitnej artystki, mistrzyni na arfie p. Sipanek.

Właściwym twórcą i pierwszym organizatorem tej orkiestry był Henryk Jarecki, który tyloletnią pracą na scenie Skarbkowskiej zespół ten wyćwiczył i nadał mu poważny, artystyczny kierunek. Po usunięciu się tego wybornego muzyka i zamknięciu sceny Skarbkowskiej, przeszła orkiestra — w częściowo zmienionym składzie — do teatru miejskiego i pozostając pod kierownictwem kolejnem takich majstrów i artystów-dyrektorów jak Czelański, Spetrino, Brunetto, Podesti, Ribera, Wroński — a chwilowo i Opieński, posiada dziś na swem czele dwóch wybitnych kapelmistrzów w osobach pp. Słomkowskiego i Rukawiny.



Sprawa Jekelfalussy: Minister honwedów na Węgrzech; generał broni Jekelfalussy.

Pierwszy — postać zaszczytnie i sympatycznie polskiemu ogółowi muzycznemu znana i ogólnym szacunkiem tudzież uznaniem się szczycąca profesor lwowskiego konserwatoryum, muzyk niezwykle uzdolniony, artysta sumienny, człowiek wielkiej skromności — czuwa nad melopeją polską a równocześnie prowadzi dział lekkiej muzyki.

Drugi p. Rukawina, wysoce sympatyczny Chorwat pobratymiec, młody, pełen najszlachetniejszych aspiracyj i wielkiej wiedzy muzycznej artysta, dzierży energiczną batutę oper obcych.

Przy pultach koncertmistrzów zasiadają prof Maurycy Wolfsthal, tudzież wybitny skrzypek, artysta dużej miary p. p. Rudolf Dehmann.

Orkiestrze, która w normalnym swym składzie liczy 56 członków, przewodzą nadto jako kapelmistrze muzyki antraktowej prof. Fugl, sprawujący zaszczytny obowiązek inspektora orkiestry, tudzież koncertmistrz p. Dehmann.

Szczupłe ramy artykułu informacyjnego nie pozwalają na szersze omówienie wybitnych zalet tego wybornego zespołu, któremu na tem miejscu wyrazić należy pełne uznanie za artystyczną i zbożną pracę około rozwoju muzyki w Galicyi.

— *urs.* —

Pamiat' Azowa.

O zajściach na krążowniku „Pamiat Azowa“, który znajdował się wraz z niewielkimi statkami oddziału artyleryjskiego w zatoce Papenwik o 40 mil na wschód od Rewla — główny sztab marynarki w Petersburgu otrzymał od dowódzcy oddziału kapitana Rimskiego-Korsakowa, który powrócił z krążownika „Pamiat' Azowa“, — następujące urzędowe wiadomości:

O godz. 12 i pół w nocy d. 1 na 2 b. m. starszy oficer kapitan Mazurow, przechodząc przez kajutę, dojrzał tam leżących pod kołdrą na 1-ej poduszce 2 ch marynarzy; zwróciwszy na to uwagę kap. Mazurow zapytał o nazwiska marynarzy.



... wystawy sztuki: Ogólny widok gaszenia wielkiego pożaru na międzynarodowej wystawie w Medyolanie, w dwie godziny po wybuchu ognia, który zniszczył zbiory cenne w oddziałach węgierskim i włoskim.

Jeden z nich, wymieniwszy nazwisko nieznane oficerowi, oświadczył, iż należy do oddziału maszyn, a na zapytanie, który jest jego numer, odpowiedział, że 126; ponieważ tak wysokiego numeru oddział maszyn posiadać nie może, oficer domyślił się, że zapytany nie jest marynarzem. W dalszym ciągu wykryto, iż człowiek ten — jak opiewał pasport, mieszczanin Tazasow — jest zupełnie obcym, przybyłym na statek celem agitacyi. Po zawiadomieniu o powyższem dowódcy oddziału flígel-adjutanta kapitana I. rangi Dabicza, ten ostatni polecił przewieźć nieznajomego na krążownik torpedowy „Wojewoda“, który miał płynąć po prowizyę do Rewla, by ten przewiózł nieznajomego na ląd i wydał władzom.



Z zamętu rosyjskiego: Grupa członków rozgłośnej obecnie „czerwonej gwardyi“ w Finlandyi, która brała udział w powstaniu wojskowem w Sveaborgu.



Z zamętu rosyjskiego: Onipko były poseł do Dumy państwowej, uwięziony w Kronsztadzie jako agitator, namawiający do buntów.

W pół godziny potem, według słów Rimskiego Korsakowa, na górnym pokładzie krążownika „Pamiat Azowa“ rozległy się 2 strzały, które zraniły stojącego na warcie miczmana Zborowskiego. Rimskij-Korsakow zbiegł na dół, by donieść o tem dowódzcy oddziału, którego spotkał w kancelaryi w chwili, gdy ten rozdawał naboje. Oficerowie chwycili się za karabiny, ustawione w kozły, lecz wkrótce okazało się, że z karabinów wyjęto zamki. W tejże chwili na statku zgasła elektryczność. Oficerowie pobiegli wtedy na górę, lecz tu powitano ich wystrzałami. Porucznik Werderowskij, Selitrennikow, zostali ranni obaj w nogi, a dowódzca statku, kapitan Łozinskij ciężko ranny w pierś.

Wtedy oficerowie, widząc jawne powstanie załogi okrętowej, skierowane przeciwko nim, postanowili wyjść na balkon kajuty admiralskiej i siąść na łódź okrętową.

Porucznik Unkowskij z 2-ma marynarzami zaczęli palić pod kotłem łodzi okrętowej, do której zeszli dowódzca oddziału flígiel-adjutant kapitan Dabicz, dowódzca statku kapitan Łozinskij, Rimskij-Korsakow, lekarz Popow, porucznik Selitrenikow, Werderowskij, Dorogow, Pawlinow i 2 pomocnicy inżyniera-mechanika.

Porucznik Sokowskij i miczman Kryżanowskij pozostali na balkonie, by umieścić na łodzi ciężko rannego starszego oficera kapitana Mazurowa, lecz w tej chwili łódź odpłynęła wskutek licznych strzałów, jakie skierowano do niej z górnego pokładu.

Z krążownika „Pamiat Azowa“ powstańcza załoga zaczęła strzelać z karabinów i dział 47-calowych do płynącej w tył łodzi. Łódź wtedy zaczęła cofając się zawracać na lewo; wskutek uderzenia kuli ster przechylił się na prawą burtę i w łódź zaczęły godzić strzały, z których jeden uszkodził podwodną część łodzi. Łódź zaczęła płynąć naprzód, miczman Unkowskij chwycił za ster, skierowano się ku brzegowi. Ze statku strzelano w dalszym ciągu, jeden pocisk przestrzelił drąg steru i zranił ciężko Unakowskiego i kapitana Dabicza. Łodź płynęła dalej. Strzały z krążownika zabiły kapitana Łozińskiego i oderwały nogę miczmanowi Pohożyjowi, który wkrótce zmarł.

Strzały na chwilę zmilkły i wtedy od krążownika „Pamiat' Azowa“ odbił kuter parowy, który zaczął ścigać łódź parową, strzelając do niej z karabinów i dział 37 milimetrowych. Gdy łódź podpłynęła do mielizny, oficerowie wskoczyli do wody i dopłynęli do brzegu. Wyszedłszy na brzeg oficerowie rozproszyli się po lesie, skąd potem słyszano wystrzały.

Do Petersburga przybyli: kapitan Rimskij-Korsakow, kontuzyowany w bok; porucznik Dorogow, który przywiózł [illegible] [illegible] Werderowskiego i Selitrennikowa. Zażądano wiadomości o losie pozostałych oficerów.



Pamiat Azowa: Widok pancernego krążownika „Pamiat Azowa“, który został uprowadzony przez zbuntowanych marynarzy; powyżej z boku fotografia zamordowanego generała Beklemiszewa.

Z pomniejszych statków oddziału, których za-



Z zamętu rosyjskiego: Poseł moskiewski do Dumy państwowej Herzenstein, zamordowany w Teriokach — na łożu śmiertelnem; nad zwłokami rozpacza wdowa z drugą córką ofiary mordu (starsza bowiem została zranioną przez zabójców ojca).

łogi nie chciały połączyć się z powstańcami, oficerowie i załogi wylądowały pod ogniem krążownika „Pamiat' Azowa“.

Tegoż dnia krążownik „Pamiat' Azowa“ przybył do Rewla wraz z 3-ma uwięzionymi przez cały czas oficerami.

Dowódzca portu rewelskiego, Wulf, doniósł, iż powstanie na krążowniku „Pamiat' Azowa“ zostało stłumione przez uczniów kanonierów mieszanego składu.



Napoleon na scenie: Ferdynand Feldman, pierwszorzędny artysta teatru miejskiego we Lwowie, na gościnnych występach w Warszawie, w swej świetnej kreacyi cesarza Napoleona I.

Według doniesień innych władz, marynarze sami dostawili na brzeg i wydali w ręce administracyi agitatora, który znajdował się na krążowniku i mieni się być mieszczaninem tambowskim, Pietrowem, nie tając jednak, że jest to imię zmyślone.

Z zamętu rosyjskiego.

Dajemy dziś znowu Czytelnikom szereg illustracyj do najnowszych wypadków w państwie rosyjskiem.

W poprzednim numerze w artykule pt: „Mord z za płota“ pisaliśmy już o zgładzeniu przez skrytobójców posła Herzensteina na terytoryum Finlandyi. Portret ofiary podaliśmy już wtedy, dziś zaś zamieszczamy fotografię Herzensteina na łożu śmierci, nad którem rozpacza wdowa z córką.

W uzupełnieniu szczegółów ostatnich zdarzeń w Finlandyi dajemy teraz grupę członków słynnej „czerwonej gwardyi“.

* * *

Przed tygodniem, jak wiadomo, w Moskwie panował strejk powszechny, który zatrwożył publiczność innych miast, ponieważ sądzono, że za przykładem Moskwy strejk ogarnie całe państwo, ale demonstracya ta na wielką skalę nie powiodła się.

Zamieszczamy dziś rycinę przedstawiającą scenę uliczną z wielkiego bezrobocia moskiewskiego.

Na innej illustracyi widzimy obrazek pełen grozy z ulic Kronsztadu; takich widoków było tam bez liku w godzinach tłumienia powstania wojskowego: na bruku leży trup marynarza-buntownika, który padł od strzałów ze strony wojsk wytrwałych w wierności.

Dużo wrzawy narobiło aresztowanie w Kronsztadzie posła Onipki, jako agitatora, nawołującego tam do buntu. Dajemy jego portret.

* * *

Na innem miejscu widzą Czytelnicy pancernik „Pamiat Azowa“, który tyle nabrał świeżo rozgłosu. Sprawie tej poświęcamy osobny artykuł.

Choroba sułtana.

Naraz roztelegrafowano po świecie, że sułtan ciężko zachorował, wreszcie pojawiły się nawet pogłoski, iż już umarł.

Nie dziw, że wobec systemu utrzymywania wszystkiego, co się dzieje w Ildis-Kiosku, w tajemnicy oraz niewydawania biuletynów o stanie zdrowia sułtana — obiegają na ten temat najrozmaitsze pogłoski.

Powstały one głównie skutkiem tego, że sułtan pierwszy raz nie był obecnym na Selamliku.

Podobno cierpi on na zastarzałe choroby nerkowe, że zaś nie chce słuchać rad lekarzy ani się dać zbadać, lecz jedynie według starych recept arabskich sam się leczy, więc stan jego pogorszył się.

W rzeczywistości nastąpiło w stanie sułtana znaczne polepszenie, jak twierdzą poufne informacye — i niepezbieczeństwo minęło na razie.

Napoleon na scenie.

W rozgłośnej sztuce „Madame Sans Gêne“, która świat cały w ciągu kilkunastu lat ostatnich obiegła w zwycięskim pochodzie, znaleźli niektórzy artyści niezwykłe pole popisu.

Dla odtworzenia na scenie genialnego cesarza Napoleona, trzeba było nie tylko talentu, ale i warunków wyjątkowych.

Z polskich aktorów, zdaje się, pierwszy kreował tę rolę na krakowskiej scenie p. Popławski, którego warunki nadzwyczajnie odpowiadały małej postaci Korsykanina.

Publiczność i prasa uznały, że trudno sobie wyobrazić lepszego Napoleona na scenie.

Kiedy jednak później wystąpił w tej roli, na kilku scenach polskich, świetny komik teatru lwowskiego, p. Feldman, zdania się podzieliły. Gdy jedni trwali w przekonaniu, że nikt, jako Napoleon, nie dorówna Popławskiemu, inni zachwycali się Feldmanem, utrzymując, że się wybornie umiał wcielić w figurę sławnego geniusza wojny.

* * *

Kiedy teraz trzeba było odtworzyć w Warszawie Napoleona, zaproszono na występy gościnne p. Feldmana ze Lwowa, który tam zawsze cieszy się wielkiem powodzeniem.

Dajemy Czytelnikom dzisiaj portret sympatycznego tego artysty właśnie w tej roli.

Czy nie wygląda on w istocie jak Napoleon?



Choroba sułtana: Abdul Hamid II., sułtan turecki.



Z zamętu rosyjskiego: W czasie ostatniego powstania wojskowego w Kronsztadzie, fragment z tłumienia buntów: na ulicy leży trup jednego z marynarzy zbuntowanych, zastrzelonych przez wojska wierne.

Kącik humorystyczny.

Z naszego high-lifu.

— Kochany baronie, kiedy to się wrócą te czasy surowej moralności, jakie niegdyś panowały w Rzymie, gdzie ojciec przebił swą córkę, nie mogąc dosięgnąć jej uwodziciela?

— A tak, biedna Kuba!

— Ależ to była Wirginia!

— Racya, ja tyle tylko słyszałem, że cała ta tragedya poszła o jakieś cygaro.

W redakcyi.

Poeta: Czy nie mógłbym panu przy sposobności kilku moich poezyi nadesłać?

Redaktor: Ależ z największą przyjemnością! Wszystkie nasze kosze stoją panu do dyspozycyi...

Dobra wymówka.

Szewc (budząc się rano). Stara! Poślij prędko Jaśka po bombę piwa dla mnie! Śniło mi się, żem jadł śledzia...

Z teatru prowincyonalnego.

Dyrektor: Panie Gawełkiewicz! Z pana jest zresztą wcale dobry aktor, ale jeśli mi się to jeszcze raz zdarzy, że pan w tej scenie, w której przedstawiasz konia, utrzesz sobie nos prawą przednią nogą, to z punktu pana odprawię...

Myśl.

Człowiek przecież w młodości więcej zużyje nóg aniżeli rąk, skoro mu zawsze na starość pierwsze uporczywie odmawiają posłuszeństwa.



Katastrofa na morzu: Statek „Sirio“, fotografowany przed wyjazdem z Barcelony, wkrótce przed straszną katastrofą, w której życie straciło w toni morskiej trzystu ludzi.

„Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

19 (Ciąg dalszy).

Przez kilkanaście minut następnych jechali znowu pod lasem, w którym wył wicher, niby wilków stado. Strach nie opuszczał podróżnej w drodze, mróz szczypał ją w twarz, a dreszcze krążyły po całem ciele.

Nakoniec wyjechali na wielkie, zdawało się, bez krańca, pustkowie białe. Kędy spojrzała, nie widziała nigdzie nic innego krom ogromnych zasp śnieżnych, wśród których ani jedno drzewo, ani jeden krzak większy nie sterczał czarną plamą...

Wyobrażała sobie, że jadą już bardzo długo, a dziwnem jej się wydawało, że dotychczas ciemności nocne nie zmieniły jeszcze barwy. A zatem nie można było jeszcze nawet marzyć o świcie. Jakże byłaby pragnęła, żeby już na świecie dnieć zaczęło. Doznawała wrażenia, że z chwilą, gdyby przestały ją otaczać mroki nieprzejrzane, uczułaby się bezpieczniejszą nawet na tej pustyni wyśnieżonej.

Im dłużej zaś gonili przez te pustkowie, tem większy lęk chwytał ją za gardło i dławił...

Wtem spostrzegła się, że jadą nie drogą, ale kędyś polami, łąkami zasypanemi śniegiem do niepoznaki...

Płozy nie sunęły się teraz, jak wprzódy, równo po gładkiej warstwie zaspy śnieżnej, lecz uderzały co trochę o coś niewidzialnego, podskakiwały gwałtownie, trzęsąc niemożliwie jej niewygodnem i tak siedzeniem.

Parę razy z hałasem stuknęły sanie jak gdyby o jakieś kupy kamieni, to zawadziły o pień lub głaz na miedzy tak mocno, że wszystkich sił użyła, by zaciskając palcami, mimo rękawic, zgrabiałemi od zimna, poręcze — nie wylecieć z sanek niby z procy...

— Słuchaj, człowieku — zaczęła krzyczeć — gdzie ty mnie wieziesz.. Zmiłuj się, przewrócisz sanie!... Czyś ty pobłądził... Nawracaj! Stań... Stój!

Furman, jak głuchy, ani się nie obejrzał, mimo że krzyczała głosem najdonioślejszym na jaki zdobyć się mogła. Konie pędziły dalej jak szalone, poganiane uparcie przez woźnicę z głową ukrytą w kożuchu.

I naraz sanie podskoczyły gwałtownie, aż się przechyliły na bok...

Tyle tylko wiedziała podróżna, która w tej chwili straciła przytomność.

Znalazła się w śniegu na pustkowiu, wypadłszy z sań, które nie troszcząc się o nią, poleciały z wiatrem dalej.

W kilka minut później, wydostawszy się po strasznych wybojach na jaką taką drogę, przystanęły. Tu dopiero dał furman koniom zziajanym chwilę wypoczynku.

Sam wyskoczył, zabrał z wnętrza koce, otrzepał je nieco ze śniegu i okrył niemi grzbiety końskie. Następnie machnął parokrotnie rękami, bijąc się po bokach, dopóki nie rozgrzał ich trochę, wreszcie z zanadrza butelkę z wódką wyciągnąwszy, wychylił ją do dna, mimo że sporo w niej było.

Aż się skrzywił po niej i wstrząsnął, poczem głupowato uśmiechając się, rzekł głośno do siebie:

— Chyba, że kontentna będzie pani siostrzyczka... Dokumentniem zrobił, co mi przykazała... Cha... cha... Łaski sobie więcej u siostry dobrodziejki zaskarbię, ano! Chociaż to ja tam u niej w łaskach i tak dość... wystarczy... albo mi to źle... Teraz będzie jeszcze lepiej... A sprzeciwi mi się kiedy baba, toć ja ją przecie mam teraz w swojej łapie, ho, ho!... Jak się kiedy spiję rzetelnie, to jej zagrożę, że wyśpiewam wszystko, co mi zrobić kazała... A wtedy siostra sobie zatańczy ze złości i zrobi, co ja zechcę... ho, ho!

Zapewne Czytelnicy poznali w pijanym furmanie dworskiego ogrodniczka Wosinka, którego, jak wiadomo, wielkiem zaufaniem obdarzała siostra Felicya.

Pijany był dostatecznie, ale mu się snać zdawało, że się jeszcze nie upił, bo za chwilę zaczął uporczywie szukać flaszki z wódką.

Nie znalazł jej w zanadrzu, więc macał siano na saniach w każdym kącie.

Okazało się wszakże, iż wypił do dna swoją butelkę i więcej przy sobie nie miał wódki.

Złość go porwała. Klął na czem świat stoi.

— Pić mi się chce! — krzyczał sam do siebie — dawaj siostra wódki... Cóż to ja będę darmo robił... Kazała siostra, tom zrobił swoje, a teraz płać... wódki daj... słyszysz, pić mi się chce... Wódki! — darł się w niebogłosy, ale dokoła była pustka, wśród której wicher jedynie wył przeraźliwie, zmiatając śnieg z miejsca na miejsce i kurząc nim, jak po wielkiej posusze w lecie na gościńcu, gdy burza ma się zerwać...

Przekonawszy się, że mu nikt nie odpowiada, Wosinek zrozumiał, gdzie jest i wpadł w istną wściekłość pod wrażeniem, że żadną miarą nie zdoła tu rychło zaspokoić swego pragnienia.

Zerwał koce z grzbietów końskich, cisnął je na sanie, sam wskoczył do środka i śmignął biczyskiem z całej siły.

Konie poniosły przed siebie.

Poganiał je tak długo jeszcze, aż wreszcie wpadł dyszlem na płot jakiś.

Gwałtownie przystanęli. Wosinek omal nie wypadł jak z procy i to go trochę otrzeźwiło.

Szeroko oczy otworzył i gapił się przed siebie.

Płot rozwalił dyszlem, uprząż potargał, w drodze jeden koc zgubił z sanek.

Rozejrzał się w koło i zastanowił nad tem, gdzie się znajduje w tej chwili.

Nie mógł przypomnieć sobie okolicy, zresztą jeszcze nie rozedniało, więc dobrze szczegółów nie rozpoznawał.

Ale rozwalenie płotu zbudziło widocznie mieszkańców, bo nagle światło pokazało się w jednem z okienek.

Dojrzał to Wosinek.

— Wódki - wrzasnął.

Nie było odpowiedzi. Ale wśród wycia wiatru słyszał wyraźnie jakiś ruch w budynku, przed którym się znajdował.

— Wódki dawać prędzej — znowu krzyknął głosem nieludzkim.

— Kto tam taki — spytano nareszcie z za płota.

— Nie dasz wodki, to łeb rozwalę — mruknął groźnie, jeszcze nie widząc, z kim rozmawia.

Wśród tego zsunął się z siedzenia w głąb sani. Ręka jego natrafiła przypadkiem na jakiś przedmiot twardy między sianem.

— Tu się bestyo ukryłaś — a wiedziałem, że butelka musi być w sianie...

I wyciągnął, zamiast butelki z wódką — siekierę, o której nie umiałby powiedzieć, skąd się tam w sianie wzięła.

Dopiero ciężar wyciąganego z pod siana przedmiotu, dał mu poznać pomyłkę.

Spojrzał ze zdumieniem, że to nie flaszka, ale mimo to w górę podniósł siekierę i sam prawie leżąc pod siedzeniem na dnie sanek, wywijać jął na oślep toporem.

— Nie dasz wódki, to łeb rozwalę — powtórzył głośniej, a język plątał mu się przy tych słowach.

Naraz krzyki przerażenia otoczyły go na widok błyskającego nad saniami ostrza siekiery.

Głosy te głuszyło jeszcze piekielne ujadanie psiarni.

Ręka Wosinka opadła, wypuszczając siekierę. Pijak dźwignął się i wygramolił z siana. Stanął w saniach, lecz zaraz zachwiał się i przysiadł.

— Co się tu dzieje — dominował nad okrzykami głos barczystego mężczyzny w sile wieku.

Wosinek wybałuszył oczy i nic nie pojmował. Kilkoro ludzi otaczało jego sanie.

— Coś ty za jeden... czego tu awantury wyprawiasz — pytał głos najgroźniejszy.

— Albo dasz pan wódki... albo pan nie dasz, to sobie sam wezmę... a nie, to łeb rozpłatam — bełkotał pijany coraz ciszej.

— Zamknąć go w stodole — krzyknął pan do służby — dopóki się nie wytrzeźwi, a konie z saniami wziąć tymczasem w zastaw... Będzie mi tu płoty rozwalał po pijanemu...

Ale kiedy zabrano się do Wosinka, ten jak gdyby nagle wytrzeźwiał i przytomnie zoryentował się w sytuacyi — zaczął się szamotać groźnie.

— Zwiążcie go, bo jeszcze komu zrobi co złego!

— Puszczać, bo jak mi Bóg miły... zabiję!

Wśród tego zjawiła się i pani domu, do której gospodarz zwrócił się teraz, opowiadając, co zaszło.

— Myślałem, uważasz, że to może Teklunia przywiozła do nas panią Edwardową... wybiegam tedy...

— Nie ma dziedziczki... ho, ho! — krzyknął na to Wosinek, słysząc słowa gospodarza — a co pan masz do dziedziczki... nic pana to nie obchodzi... patrzajcie go... Teklunia... Tu nic niema do gadania stara klucznica... ja mam słuchać siostry Felicyi... co mi kazała, tom zrobił, a panu nic do tego... Dasz pan wódki, czy nie... Patrzajcie go, dziedziczki niema i już... Teraz siostra panowa jest dziedziczka....

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarady.

Ułożył M. Rożański, Gorlice.

I.

Druga-pierwsza — sprzęt domowy,
Wszędzie go znajdziecie.
Trzecia wstecz i wprost pierwsza
W greckim alfabecie,
Całość łatwo odgadniesz,
Bez łamania głowy,
Jeśli tylko spojrzysz
W ogród jarzynowy.

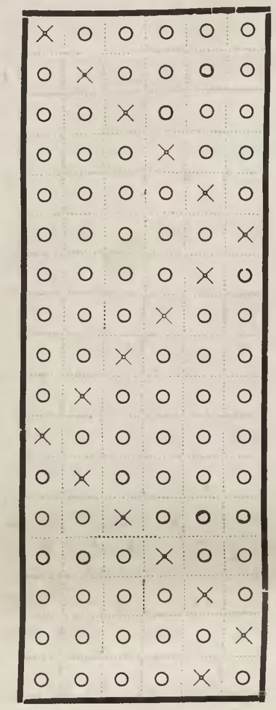
II.

Wzdrygniesz się, gdy zobaczysz
Pierwsze oraz *trzecie.*
Drugiej trzeciej się boją
I starzy i dziecię.
Całość — to imię męskie
Dość powszechnie znane
I w kalendarzu bardzo
Często spotykane.

Łamigłówka.

Ułożył O. Tłuchowski, Warszawa.

Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko współczesnego powieściopisarza polskiego.



Wyrazy są następujące: 1. Imię męskie. 2. Utwór Wyspiańskiego. 3. Jedna z bohaterek „Quo vadis“. 4. Zjawisko przyrody. 5. Miasto w Grodzieńskiem. 6. Roślina. 7. Cukier w złym gatunku. 8 Generał rosyjski z r. 1831. 9. Człowiek nie przyjmujący w czemś udziału. 10. Były poseł socyalistyczny w Dumie. 11. Roślina. 12. Pseudonim współczesnego powieściopisarza polskiego. 13. Miasto w Kaliskiem. 14. Inaczej kawał drzewa 15. Poseł socyalistyczny w Dumie. 16. Rzeka w Królestwie Polskiem. 17. Drzewo.

Dla ułatwienia rozwiązania podajemy obok zgłoski, z których powyższe wyrazy utworzyć należy: a, a, am, bryń, bicz, bier, brew, brzo, cy, ce, dłak, dy, din, eu, ho, ko, ka, kin, le, la, li, li, luń, ła, me, mi, ni, ni, na, no, ny, pio, ra, run, ri, se, sa, we, wi, wie, wiec, za.

Zadanie arytmetyczne.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Zamówiono w sklepie 77 metrów koronki za 77 złr. w czworakim gatunku. Ceny były następujące: 1 gatunek po 4 złr. za metr. 2 gatunek po 3 złr. 3 gatunek po 1 złr. 50 ct. Czwarty gatunek po 75 cnt. za metr. Ile metrów z każdego gatunku kupiec wysłał?

Logogryf.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

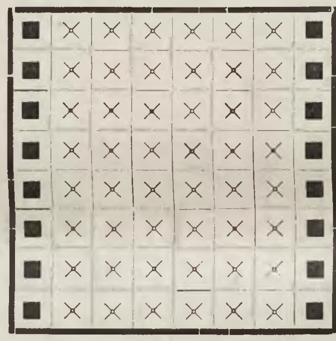
Z następujących zgłosek: a, a, a, ak, al, an, an, ap, ar, bam, ber, bo, bu, bus, chwa, cic, cza, czo, czö, cy. dam, do, dol, e, fo, fos, ga, gal, gen, het, kar, kmi, ko, ko, kol, kusz, lah, le, lec, leń, lin, lin, ło, ło, łom, łow, ma, ma, miens, mo, mo, na, nar, narz, ne, ni ni, ni, niu, non, nyi, o, o, o, ol, pa, po, ra, ra, ran, reut, rol, ry, rydz, se, sem, sie, ski, sław, sta, szo, szyn, ta, to, tu, ty, tyk, wa, wa, wcie, wek, wicz, wrze, ze, zi, zu, że — ułożyć 39 wyrazów, których litery początkowe i końcowe czytane z góry na dół, utworzą nazwy dziesięciu ulic w Warszawie.

Znaczenie wyrazów: Żołnierz okrętowy. 2. Imię męskie. 3. Dzikie zwierzęta z gatunku kotów. 4. Rzeka w Afryce w prowincyi tego samego nazwiska. 5. Imię męskie. 6. Rodzaj papug afrykańskich. 7. Inaczej odłam skały. 8. Miasteczko w Galicyi. 9. Miasto w Królestwie Polskiem, słynne kopalniami srebra. 10. Inaczej pozornie. 11. Imię męskie. 12. Zakon francuski. 13. Papiery wartościowe. 14. Inaczej bezczelny śmiałek. 15. Stacya kolejowa na linii Tarnów-Stróże. 16. Miasto na Śląsku austryackim. 17. Kraj koronny w Austryi w Alpach. 18 Wyspy w Ameryce. 19. Rodzaj trzciny z której wyrabiają meble gięte. 20. Herb polski. 21. Inaczej łokieć lwowski. 22. Część twarzy. 23. Bohater „Potopu“ Sienkiewicza. 24. Bóg u Mahometan. 25. Przysłówek czasowy, 26. Dygnitarze wojskowi w dawnej Polsce. 27 Inaczej posłaniec. 28. Środek dezynfekcyjny na zęby. 29. Połączenie kwasu hypofosforowego z innym pierwiastkiem. 30. Imię żeńskie. 31. Imię męskie. 32 Miasto w południowych Włoszech. 33. Miasto w Wirtembergii. 34. Kniaź rosyjski. 35. 7-my przypadek od słowa cień. 36. Miasto we Francyi. 37. Grzyb. 38. Inaczej środek odurzający. 39. Znany polityk węgierski.

Kryptogryf.

Ułożył S. Samueli, Limanowa.

Kwadraty i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby kwadraty czytane z góry na dół, utworzyły nazwisko znakomitej powieściopisarki i autorki dramatycznej, oraz tytuł jednej z jej powieści.

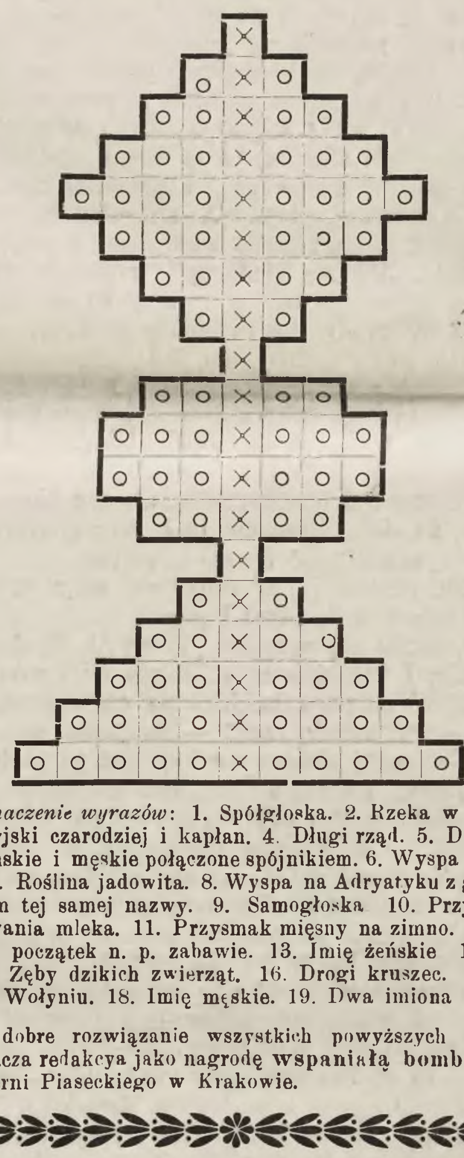


Znaczenie wyrazów: 1. Ten co kradnie. 2. Inaczej gotowość do usług. 3. Rodzaj materyi bawełnianej, używanej na koszule. 4. Pokład woskowaty. 5 Kwiaty, należące do rodziny liliowatych. 6. Surowa, niegarbowana skóra. 7. Miasteczko niedaleko Gdańska. 8. Napój, jaki pili greccy bogowie na Olimpie.

Zagadka.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, utworzyły imię, nazwisko i przydomek pierwszego polskiego literata.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rzeka w Egipcie 3. Indyjski czarodziej i kapłan. 4. Długi rząd. 5. Dwa imiona, żeńskie i męskie połączone spójnikiem. 6. Wyspa w Ameryce. 6. Roślina jadowita. 8. Wyspa na Adryatyku z głównem miastem tej samej nazwy. 9. Samogłoska. 10. Przyrząd do przelewania mleka. 11. Przysmak mięsny na zimno. 12. Ten, co daje początek n. p. zabawie. 13. Imię żeńskie 14. Spółgłoska. Zęby dzikich zwierząt. 16. Drogi kruszec. 17. Miasto na Wołyniu. 18. Imię męskie. 19. Dwa imiona żeńskie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza redakcya jako nagrodę **wspaniałą bombonierkę** z cukierni Piaseckiego w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 31.

Szarada.

I. Tatarak. II. Budapeszt.

Kryptogryf.

g, **p**o**p**, Se**r**et, Bor**e**cka, Gore**m**ykin, pot**y**cya, Ry**k**ow, l**i**s, **n**.

Goremykin.

Arytmogryf.

N, ko**t**, R**ó**wno, Horod**ł**o, kome**d**yant, Nowod**w**orski, Kuch**o**wsk**i**, Dąb**r**owa, Pa**s**ek, o**k**o, **i**.

Nowodworski.

Zagadka trójkątowa.

Zacharyasiewic**z**, cesarzewiczow**a**, Tomko Prawdzi**c**, Sacher Masoc**h**, Hoffmannow**a**, Gubernato**r**, cierpią**cy**, szaryt**ka**, Eskimo**s**, hucul**i**, rysi**e**, Lw**ó**w, on**i**, i**c**, **z**.

Zacharyasiewicz.

Kryptogryf.

R, l**e**w, ko**m**ar, Bar**b**ara, Rembrandt, koka**i**na, Ko**n**go, A**d**a, **t**.

Rembrandt.

Logogryf.

Baranowic**e**, **O**sie**m**, **L**izbo**n**a, **E**kra**n**, **S**zanie**c**, **Ł**b**y**, **A**meuhote**p**, **W**and**a**, **P**erku**n**, **R**oosevel**t**, **U**liczni**k**, **S**aloni**ki**.

Bolesław Prus. — Emancypantki.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: T. Wartanowicz Cygany p. Łazy, St. Łaszkiewicz Dębica, K. Chodkiewicz Zbydniów, M. Tarczyńska Krzeczowice, J. Romaszyńska Borysław, M. Bartelmusowa Skałat, M. Małaczyński, K. Fuchs Peczyniżyn, E. Mroziński Mosty Wielkie, M. Arbesbauer Lwów, E. Bogdalska Koropuże, Z. Ciechanowska Stary Sambor, T. Domain Sanok, H. Leligdowicz Fraga ad Rohatyn, Bocsoń Bóbrka, J. Dobrzańska Kołomyja, St. Gajdeczka Sieniawa, A. Surowiecki Kraków, Tow. „Zgoda“ Krosno, F. Niepokój Krosno, B. Ramułtowa Jeżów, H. Ulrych Malinie p. Chorzelów, H. Mokrzycka Turbia, K. Szarkiewicz Tłumacz, dr. St. Warmski Turka n. Stryjem, M. Świtlikowa Rzeszów, W. Hałdziński Lichwin, ks. S. Suski Brzezie, B. Rudkowska Lwów, A. S. Bassara Niwiska, J. Bagoń Sucha, J. Badura Rożdżeń, J. Misiaczek Jaślany, M. Rożański Gorlice, M. Weissowa Romuli na Węgrzech, H. Zielińska Manajów, F. Kośmider N. Sącz, K. Ludwig N. Sącz. F. Kinalski Stanisławów.

Nagrodę otrzymał: **F. Kinalski** Stanisławów.

Kącik humorystyczny.

Pechowiec.

Pan X. przychodził co wieczora pijany do domu. Żona robiła mu z tego powodu wyrzuty, lecz bezskutecznie.

Pewnego razu jednak zanadto sobie dogodził, a będąc sam na siebie oburzony, przyrzekł żonie, iż od jutra się poprawi, żadnych trunków nawet do ust nie weźmie, zacznie prowadzić inny żywot, jednem słowem, stanie się całkiem innym człowiekiem.

Na drugi dzień w nocy przyszedł jednak znów pijaniusieńki.

— Więc to tak? — odzywa się żona — więc tak słowa dotrzymujesz? Wszak od dziś miałeś się stać innym człowiekiem?

— I stałem się — odzywa się pan X. ledwie mogąc ustać na nogach — lecz przedstaw sobie mój pech — bestya ten inny taki sam pijak jak i tamten.

W szkole.

Nauczycielka siląc się, aby jak najjaskrawiej odmalować uczenicom swoim doniosłość kary, jaka spotkała Nabuchodonozora — mówi:

— Przez pięć lat żywił się tylko trawą jak krowa.

Przerywa jej panna Helcia:

— A czy on też potem dawał mleko — proszę pani.

Na pensyi.

— Mówię ci już teraz, Zuziu, że wyjdę za mąż tylko za prokuratora...

— A to dlaczego?

— Pomyśl, co to za przyjemność czytać to wszystko, co on k o n f i s k u j e...

NADESŁANE.